MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 52. WARSZAWA, 10 GRUDNIA 1933 R. CENA NUMERU 80 GR.

MYŚL NARODOWA

KOŃCZYMY 13-ty rok istnienia (od roku 1925 w obecnym formacie i zakresie). „Myśl Narodowa" wychodzić będzie nadal, jako tygodnik poświęcony kulturze twórczości polskiej we wszystkich dziedzinach, wymagających wysiłku ducha i steru myślowego. Wszystkie te dziedziny łączą się z sobą organicznie, bo jeden jest duch tworzący cywilizację narodową. Normować ten związek rzeczy, z którego rodzi się myśl cywilizacyjna, wiodąca naród po właściwej mu drodze dziejów — oto zadanie nasze, które spełniać będziemy nadal, coraz udoskonalając pismo.

Pismo nasze jest potrzebne — mamy na to najlepszy dowód w tem, że kilkanaście lat istnieje i coraz ściślejszemi węzły wiąże się z życiem umysłowem społeczeństwa; coraz głębszą darzone przyjaźnią najcelniejszych w narodzie jednostek („elity"), miarodajnym jest wyrazem dążeń obecnego pokolenia. Jest potrzebne, jak wytyczna linja na ruchomej fali wydarzeń, rejestrowanych przez dzienniki. Tygodnik nasz jest niezbędny, jako uzupełnienie dzienników.

Nie zastąpią go czasopisma, służące tylko rozrywce i unikające tematów drażliwych, a więc milczące tam, gdzie wołać trzeba. Interesy narodu są bezwzględne. Organy opinji publicznej, legitymujące się do zasługi beznamiętną obojętnością na to, co się dzieje, krzywdzą swoje pokolenie strasznym osądem, że je nie stać na patrzenie prawdzie w oczy.

Nie traktujemy wydawnictwa, jako przedsiębiorstwa, handlującego ładnym frazesem, ani też z literatury nie mamy zamiaru robić stałego i wyłącznego zajęcia dla warstw oświeconych. My nie wkupujemy się z zewnątrz, jak żydzi, przez literaturę, traktowaną jako sport, do cywilizacji polskiej, lecz hodujemy twórczość ogólną (cywilizację), aby dała z siebie konary nauki, literatury i sztuki, żywe sokami ziemi i pracą człowieka, konary kwitnące i owocujące. Darmo rozwieszać dekoracyjne kwiaty, gdy pień drzewa robaczywieje. A tak się teraz w Polsce dzieje, że fuszerkę w budownictwie zasłania się fasadą, malowaną w kwiaty, i g-ipsami, ciągnie się za włosy literaturę, aby pozorowała rozkwit „budownictwa kultury".

Co do nas — nie czujemy żadnej potrzeby budowania „domów Potiemkinowskich". Polskę winniśmy widzieć w prawdzie, taką, jaka jest, pracującą od podstaw — wedle stawu grobla, nie zaś rozkradającą siebie w rabunkowej gospodarce. Z przesilenia, w którem znaleźliśmy się, wyjść możemy jedynie przez uzdrowienie się moralne, a stanie się to wtedy, gdy inteligencja nasza wróci duszą do podstaw życia, nie licząc, że wszystko za nią zrobi państwo biurokratyczne.

Naród historyczny, któremu państwo nie pierwszyzna, uporać się musi z parwenjuszami kultury, którzy z odzyskanego państwa pragnęliby robić mechaniczne narzędzie rozwoju z zapoznaniem organicznych praw życia narodowego.

Zasada elementarna twórczości narodowej, opartej na żywych siłach m o r a l n y c h, musi być przywrócona; inaczej nie dojdziemy do równowagi, tak mocno dzisiaj zachwinej. Inteligencja, która się nie kształci przez badanie życia, nie słyszy, jak trawa rośnie, ale wpatrzona w kasy państwowe, nasłuchuje stąd komendy, jest nie twórcą, lecz podjadkiem państwa.

Państwo jest najważniejszym tworem narodu, ale jego twórca — naród — żeby je na swych barkach utrzymał, musi być wkorzeniony w ziemię wszystkiemi włóknami duszy i sięgać wysoko pędami. Wtedy i państwo będzie trwałe i sztuki pięknie dom polski udekorują swym kwiatem.

Więc uczyć się trzeba twórczości narodowej bezustanku, bo coraz zmieniają się warunki i rosną potrzeby, domagające się nowych środków. Skromne są — być może — siły nasze, któremi służyć chcemy powyższemu zadaniu swoją „Myślą Narodową". Ale tem większy obowiązek współczesnej inteligencji starszego i młodszego pokolenia, koło nas się skupiać i to ognisko myśli duchowo i moralnie zasilać.

Do rozumienia tej potrzeby odwołujemy się przed Nowym Rokiem, upraszając wszystkich, kogo te słowa dosięgną, o rozpowszechnianie „Myśli Narodowej", prenumerowanie — i pilne czytanie.

REDAKCJA

GŁOS WIELKOPOLSKI I POMORZA

DNIA 26 listopada b. r. odbyły się wybory do rad miejskich w Wielkopolsce i na Pomorzu. Czynniki pomajowe przywiązywały do tych wyborów wielkie znaczenie. Miały one oddać w ręce sanacyjne samorządy miejskie, które w tych dwu województwach znajdują się dotychczas pod zarządem obywateli niezależnych, narodowo usposobionych, ale nie kierujących się zupełnie względami partyjno-politycznemi. Zdobycie samorządów na ziemiach zachodnich to był jeden cel. Drugi był znacznie ważniejszy. Wybory do rad miejskich na ziemiach zachodnich miały przed społeczeństwem całej Polski zaświadczyć, iż mieszkańcy Wielkopolski i Pomorza, tych głównych ośrodków sił obozu narodowego, już legli u stóp *régime*'u, bo przekonali się, iż tylko ten system może Polską rządzić. Klęska, a nawet pogrom ruchu narodowego miał być ostatecznym dowodem, iż cały kraj, cały naród, wszystkie dzielnice i wszystkie warstwy już znalazły się w szeregach „sanacji". Zwłaszcza chełpiono się podczas akcji przedwyborczej, iż sanatorzy zdobędą ratusz w Poznaniu, który jest uważany za symbol narodowego charakteru miast Wielkopolski i Pomorza.

Kampanję przygotowano już od dłuższego czasu. W pierwszych latach po zamachu majowym zamierzano ziemie zachodnie zdobyć huraganowym ogniem i frontowym atakiem. Chciano w tym ataku zmiażdżyć obóz narodowy. Po kilkakrotnych próbach przekonano się jednak, iż daje to wyniki wprost przeciwne, iż w tej walce bezwzględnej narodowcy nie słabną na ziemiach b. zaboru pruskiego, ale rosną na siłach, porządkując swoje szeregi. Odpadają wprawdzie plewy, ale przybywają na to miejsce młodsze roczniki, żądne walki, posiadające twarde grzbiety i nieugięte karki. Zmieniono więc taktykę. Zaczęto próbować podkopów, wewnętrznych dywersyj i podjudzania jednych przeciwko drugim. Nasłano w szeregi narodowe cały legjon konfidentów i dywersantów, co było ułatwione, ponieważ obóz nasz przybrał masowy charakter. Zaczęto dezorganizować prasę narodową i chciano także wewnątrz organizacyj politycznych i stowarzyszeń, ideowo z obozem narodowym związanych, wytworzyć stan fermentu i nieustannego wrzenia. Te metody wyraźnie zarysowały się na Pomorzu, a nieco mniej jaskrawo w Wielkopolsce. W Wielkopolsce zato, zwłaszcza w Poznaniu, starano się zanarchizować społeczeństwo przez strajk tramwajarzy i kampanję oszczerstw, wymierzoną przeciwko zasłużonym instytucjom narodowym i kierownikom stronnictwa narodowego.

Kiedy uznano, iż teren już przygotowany, rozpisano nagle wybory. Do ostatniej chwili trzymano w tajemnicy, kiedy się one odbędą. „Sanacja" przygotowywała się od kilku miesięcy do działania i agitacji, posiadając przedtem dokładne wiadomości o wszystkiem. Obóz narodowy zaskoczono szybkiem ogłoszeniem wyborów. Regulamin wyborczy, wydany jako rozporządzenie przez ministerstwo spraw wewnętrznych, oddał komisje wyborcze w ręce ludzi, mianowanych przez władze administracyjne. Podział na okręgi i dowolne ich wykreślanie, możność skreślania nazwisk kandydatów przy głosowaniu, wielka liczba podpisów, potrzebna dla postawienia listy, „egzaminy"—oto przepisy regulaminu wyborczego, które miały utrudnić obozowi narodowemu akcję wyborczą, zniechęcić jego działaczy i oddać samorząd miejski w ręce „sanacji". Pozatem uruchomiono cały aparat nacisku gospodarczego i fizycznego, aby wywołać wśród szerokich rzesz nastrój paniki. Wreszcie w szeregu miast i miasteczek, względnie okręgów, unieważniono listy narodowe i pozostawiono na placu tylko „jedynkę".

I jakież osiągnięto rezultaty? Na to pytanie odpowiedział jeden z senatorów z B. B. w rozmowie, prowadzonej z wybitnym posłem narodowym, ks. Sewerynem Czetwertyńskim. Oto opinja senatora z B.B.: „Kto dokładnie zapozna się w wynikiem wyborów w Wielkopolsce i na Pomorzu, musi przyznać, iż narodowcy odnieśli olbrzymie zwycięstwo. Widać z rezultatów głosowania, iż na obóz rządowy, w przeważającej ilości, głosowali urzędnicy, policja i wojskowi zawodowi. Głosów obywateli niezależnych na jedynkę padło niewiele". Są to uwagi zupełnie trafne. Nietylko nie zdobyto ratusza w Poznaniu, nietylko w przeważającej ilości miast i miasteczek Pomorza i Wielkopolski obóz narodowy uzyskał w radach miejskich zdecydowaną większość, nietylko w porównaniu z wyborami do rad miejskich w roku 1929, a także i z wyborami do Sejmu w roku 1930, narodowcy skupili większą ilość głosów, ale przedewszystkiem głosujący na „sanację" wyrazili jej *votum* nieufności. Nietylko ci, którzy głosowali za obozem narodowym i za innemi listami opozycyjnemi, oświadczyli się przeciwko obecnym stosunkom w Polsce, ale także ci, których zmuszono do głosowania za listą prorządową. Objawiło się to w skreślaniu przywódców Bloku Bezpartyjnego. W Poznaniu przepadli w ten sposób przy wyborach do rady miejskiej następujący przywódcy B. B. W. R.: prof. A. Jakubski (prezes Zw. Legjonistów), pos. Józef Rzóska, dr. Roman Konkiewicz (kierownik faktyczny od wielu lat miejscowych piłsudczyków), adwokat Czesław Chmielewski, dr. Karol Stark i wielu innych. Właściwie skre-

ślono wszstkich wybitniejszych kandydatów z list prorządowych, a pozostali tylko ludzie politycznie niezaangażowani. To samo stało się Bydgoszczy, gdzie przepadli wszyscy czołowi kandydaci „sanacji“. Również w innych większych miastach, jak Toruń, Gniezno, Inowrocław podobny los spotkał głównych działaczy obozu pomajowego. W ten sposób zemścili się na „sanacji“ ci, których zmuszono głosować na nią. Ponieważ urzędnicy głosowali pod przymusem i pod kontrolą, bo w tym celu wydano odpowiedniego kształtu kartki, dlatego głosowali wprawdzie oni (z obawy o posady) na jedynkę, ale dali wyraz swojemu niezadowoleniu i oburzeniu przez skreślenie nazwisk czołowych kandydatów. To była zemsta za upokorzenie i gwałt, zadany sumieniu obywatelskiemu. To skreślanie nazwisk wybitnych sanatorów, to najwymowniejszy bodaj protest przeciwko metodom dzisiejszym.

Obozowi narodowemu przyniosły wybory pełne zwycięstwo. Zapowiedzią naszego powodzenia był fakt, iż przeciwnicy narodowców podszyli się pod firmę narodową i przybrali nazwę „Narodowego Bloku Gospodarczego“. Widocznie uznano, iż przymiotnik „narodowy“ ma moc przyciągającą. Słyszałem podczas akcji wyborczej zdanie od prostego człowieka, iż ilekroć chce się brać od społeczeństwa, to się przypomina sobie o istnieniu narodu i o popularności przymiotnika „narodowy“. Ale tym razem nazwa nie zbałamuciła nikogo. Sami sanatorzy zresztą zdradzili swoje oblicze szybko, przedewszystkiem przez ustosunkowanie się do żydów. Żydzi w większych miastach Wielkopolski i Pomorza, na swoich zebraniach w synagogach, uchwalili gremjalnie głosować na listy „jedynki“. Jeden z przywódców żydowskich w Toruniu uzasadniał ich postanowienie tem, iż opanowanie przez czynniki pomajowe samorządu miejskiego ziem zachodnich otworzy żydom bramy miast Wielkopolski i Pomorza na oścież. Świadczy o tem zresztą objaw, iż do zamachu majowego liczba żydów w Wielkopolsce i na Pomorzu kurczyła się stale, a od roku 1926 wzrasta z roku na rok. Ostatnie więc wybory nosiły także charakter obrony przed zalewem żydowskim. Ten sukurs żydów dla ludzi pomajowych stał się jednym z głównych czynników, które społeczeństwu ziem zachodnich wykazały w całej pełni oblicze „sanacji“ i niebezpieczeństwa, które ona pociąga za sobą.

Mimo wspomnianego wyżej regulaminu wyborczego, mimo rozmaitych sztuczek i pogróżek, za obozem narodowym głosowały szerokie masy społeczeństwa. Nietylko wynik głosowania napawa nas otuchą, ale więcej jeszcze sama akcja przedwyborcza. Praca wyborcza prowadzona była w warunkach nadzwyczaj trudnych, prawie zupełnie bez środków materjalnych. Dała jednak tak dodatnie wyniki, ponieważ nasi zwolennicy i działacze pracowali z entuzjazmem, niestrudzenie i bezinteresownie. Przytem każdy wiec publiczny, każde małe zebranie, każda rozmowa czy pogawędka przekonywały, iż szerokie masy odnoszą się do idei narodowej i obozu narodowego z głębokiem zaufaniem. Tu i ówdzie zachwieli się ludzie ze sfer burżuazyjnych i t. zw. inteligencji, ale za to obóz narodowy zyskał wielu nowych zwolenników w dzielnicach robotniczych i drobno-mieszczańskich. W tych sferach ruch narodowy przybrał żywiołowe chwilami rozmiary. Z tego widać, iż program narodowy i hasła narodowe wywierają w tej chwili dziejowej wpływ poprostu suggestywny. Idea narodowa podbija umysły i serca szerokich mas, do których nie miała dotychczas większego dostępu. Nietylko obóz narodowy zwyciężył przy wyborach do rad miejskich w Wielkopolsce i na Pomorzu, ale w czasie walki wyborczej skonsolidował się wewnętrznie i przegrupował swoje szeregi.

Ostatnie wybory miejskie w Wielkopolsce i na Pomorzu wykazały przytem, iż siłę polityczną stanowi jedynie obóz narodowy. On jeden wyszedł w walce z „sanacją“ zwycięsko, a to wszystko, co między nami a „sanacją“ zajmuje miejsce, okazało się nadzwyczaj słabe. Tylko obóz narodowy jest czynnikiem ruchu i reprezentuje przyszłość, bo przecież trwale odgrywać może rolę tylko taki obóz polityczny, który znajduje poparcie w społeczeństwie.

Przyznać trzeba, iż narodowcy z całej Polski czekali z wielkiem zainteresowaniem na wynik wyborów do rad miejskich w Wielkopolsce i na Pomorzu. Zwłaszcza wielkie zaciekawienie budziły wybory w samym Poznaniu. Ruch narodowy przybiera wielkie rozmiary po wsiach i miastach we wszystkich dzielnicach Polski. Postawa narodowa Poznania i ziem zachodnich, która uwidoczniła się znowu w całej pełni przy tych wyborach, oddziała dodatnio i przyczyni się do tem większego wzrostu ruchu narodowego w całej Polsce. Przykład Wielkopolski i Pomorza będzie zaraźliwy.

JÓZEF PETRYCKI

W KŁĘBOWISKU ŚLĄSKIEM

TRUDNO doprawdy zorjentować się w tem, co zaszło ostatnio na Śląsku. Wiadomo, że wykryto ogromne nadużycia — trudno jednak ustalić, na czem one polegały. Trzebaby wielkiego wysiłku rzeczoznawców, by rozplątać zawiłe kombinacje finansowe wielkich koncernów śląskich.

Przypatrzmy się nieco ich strukturze. Trzeba przedewszystkiem odróżnić dwie odrębne grupy interesów, które obejmują przemysł hutniczy i węglowy. Grupa hutnicza (posiadająca zresztą kopalnie węgla o drugorzędnem znaczeniu) obejmuje dwie spółki akcyjne: Katowicką Spółkę Akcyjną oraz Zjednoczone Huty Królewską i Laura. Ponad temi przedsiębiorstwami produkcyjnemi, t. j. posiadającemi huty, stoją dwie nadbudówki: „Wspólnota interesów“ oraz *„Silesian Steel Corporation“* w Nowym Yorku.

Ciekawe są kombinacje, dotyczące udziałów wspomnianych przedsiębiorstw. Oto część akcyj Zjednoczonych Hut Królewskiej i Laury znajduje się w posiadaniu Katowickiej Spółki Akcyjnej, część zaś należy do *„Silesian Steel Corporation“*. Z dziesięciu miljonów dolarów kapitału zakładowego *„Silesian Steel Corporation“*, akcje na 4,5 mil. dolarów znajdują się w posiadaniu Katowickiej Spółki Akcyjnej, tyleż w posiadaniu Zjednoczonych Hut Królewskiej i Laury. Pozatem *„Silesian Steel Corporation“* ma także akcje Katowickiej Spółki Akcyjnej. Wreszcie „Wspólnota interesów“ miała akcje *„Silesian Steel Corporation“*. Obraz doprawdy nieco zamazany.

Gdy się jeszcze weźmie pod uwagę stosunki obu przedsiębiorstw produkcyjnych z bankami niemieckiemi, dalej stosunek dwu realnych akcjonarjuszy wszystkich wymienionych wyżej przedsiębiorstw: Flicka i Harrimana do rządu Rzeszy, który w tem wszystkiem macza swoje palce, zrozumiemy, jak trudno jest zorjentować się w skomplikowanych rachunkach najpotężniejszego koncernu śląskiego, który doniedawna zatrudniał około 45 tysięcy pracowników i osiągnął w okresie dobrej konjuktury około pół miljarda obrotu rocznie.

Niemniej zawiły obraz przedstawiają stosunki w drugiej grupie, która w przeciwieństwie do „Wspólnoty interesów", grupy hutniczo-węglowej z przewagą interesów hutniczych, zajmuje się jedynie górnictwem węglowem. Mamy na myśli koncern Roburu, a ściśle mówiąc grupę dwu żydów: Friedländer—Fulda i Faltera. Friedländer jest żydem niemieckim, Falter zaś polskim. Ochrzcił się w roku 1923. Trzymał go do chrztu Wojciech Korfanty, zaś chrztu świętego udzielił biskup, podówczas prałat, J.E. ks. Kubina. Gdyby p. Falter ochrzcił się o kilka lat później, jego ojcem chrzestnym byłby zapewne p. wojewoda Grażyński. Nie wiemy, czy p. Friedländer również jest ochrzcony. Szczegół ten niema zresztą istotnego znaczenia.

Panowie Falter i Friedländer są udziałowcami koncernu Robur. Koncern ten ma umowę o wyłączną sprzedaż komisową węgla, pochodzącego ze Spółek Akcyjnych: Godulla, Wirek, Rybnickie Gwarectwo Węglowe, oraz z kopalń hr. Ballestrema. Większość akcyj sp. akc. Godulla znajduje się w posiadaniu Niemca, Schafgotscha oraz niektórych banków niemieckich. Rybnickie Gwarectwo Węglowe należy do pp. Friedländera i Faltera. Sp. akc. Wirek jest teren współpracy p.p. Schafgotscha, Faltera, Friedländera i hr. Ballestrema. Akcje jej podzielone są między spółkami akcyjnemi: Godulla oraz Rybnickie Gwarectwo Węglowe. Pewną część akcyj tej spółki posiada rowniież hr. Ballestrem oraz hr. Donnersmarck. W praktyce kapitał zakładowy tej spółki nie był wpłacony, lecz pożyczony przez niemiecki bank Warburga (żyda).

Naogół biorąc, stosunki wzajemne w tej grupie przedsiębiorstw są bodaj jeszcze zawilsze, niż we „Wspolnocie interesów".

Umyślnie wdaliśmy się w tak szczegółową charakterystykę obu grup oskarżonych o nadużycia, polegające na ukrywaniu dochodów. Przykład ten jest bowiem niezwykle pouczający, jeżeli chodzi o kombinacje holdingowe, tak charakterystyczne dla okresu degeneracji wielkiego przemysłu.

Można sobie doprawdy zadać pytanie, poco ta niesłychana zawiłość? Czy to tylko wynik rozwoju historycznego? Otóż nie, chodzi o to właśnie, by skomplikować strukturę przedsiębiorstw. Wówczas każdy z wielkich działaczy przemysłowych pobierać może kilkanaście pensyj. Ryzyko przerzucić można na jedno przedsiębiorstwo, w innem zaś skupić zysk. Podział pracy jest na Śląsku rzeczywiście daleko posunięty. Naprzykład spółka akcyjna Godulla czy Wirek wydobywają rocznie miljony ton węgla, ale jeżeliby kto chciał nabyć u nich jedną tonę, spotka się z odmową—sprzedaje tylko Robór.

Dalej pamiętać trzeba o tem, że mnogość przedsiębiorstw ułatwia wykazania olbrzymiego zadłużenia. Zadłużenie to obciąża przedsiębiorstwo wielkiemi odsetkami, które w całości konsumują zysk. Niejednokrotnie mamy tu do czynienia z t. zw. długami u samego siebie. Wiadomo, że za Flickiem stoi rząd Rzeszy. Tymczasem przedsiębiorstwa koncernu Flicka zadłużone są na sumę około 200 miljonów złotych w niemieckich D-bankach. A za D-bankami stoi znowu rząd Rzeszy.

Wszelkie stosunki z zagranicą znakomicie ułatwiają machinacje na niekorzyść skarbu państwa. Cóż łatwiejszego naprzykład, jak założyć spółkę zagraniczną, któraby kupowała węgiel od kopalń po cenach niskich i sprzedawała go z odpowiednim zyskiem zagranicznej klijenteli. Założenie takiej właśnie spółki może być przedsięwzięciem bardzo rentownem dla akcjonarjusza kopalń, położonych w Polsce.

Różnica między holdingami polskiemi a zagranicznemi polega na tem, że podczas gdy holdingi zagraniczne mają głównie na celu sprzedawanie publiczności akcyj bez utraty decydującego wpływu na tok działalności przedsiębiostw, holdingi w Polsce obliczone są przeważnie na ukrycie zysku przed skarbem państwa.

Zagranicą tworzy się wielopiętrowe gmachy holdingów, zbudowane według poniższego szablonu: spółka Y posiada 40% akcyj spółki X; spółka Z posiada 40% akcyj spółki Y. Kapitalista A posiada 40% akcyj spółki Z. Dajmy na to, że kapitał spółki X wynosi 10 miljonów, spółki Y 4 miljony, spółki Z 1600 tysięcy. Jeżeli zatem kapitalista A posiada akcje spółki Z nominalnej wartości 640 tysięcy złotych, może dowolnie dysponować spółką X, której kapitał zakładowy wynosi 10 miljonów. Oczywiście żadna ze spółek nie wypłaca dywidend akcjonarjuszom — zyski ich pod różnemi postaciami przypadają w udziale kapitaliście, dysponującemu nawet nie większością bezwzględną akcyj, lecz większością akcyj, normalnie reprezentowanych na walnem zgromadzeniu. W praktyce wystarcza do tego celu posiadanie około 40% akcyj. Większą część kapitału dostarcza naiwna publiczność. Gdyby nie było holdingu, kapitalista dla opanowania spółki X musiałby użyć 4 miljony własnych pieniędzy.

U nas w działalności holdingów idzie o co innego: o przerzucenie zysków zagranicę. Moment wyzyskania możliwości emisyj akcyj różnych spółek holdingowych dla zdobycia kapitału nie ma znaczenia, gdyż nasza publiczność akcyj nie kupuje. Natomiast holding stwarza tysiąc możliwości ominięcia ustaw podatkowych. Naprzykład holding „*Silesian Steel Corporation*" miał dwa typy akcyj: uprzywilejowane i zwykłe. Akcje zwykłe, w okresie kryzysu, nie dają dywidendy i... są własnością Katowickiej Spółki Akcyjnej i Ziednoczonych Hut Królewskiej i Laury. Gdyby akcje te dawały dywidendę, zwiększyłyby się ich dochody, a co za tem idzie i podatki. Obecnie wspomniane spółki nie mają dochodów z akcyj „*Silesian Steel Corporation*", ale płacą odsetki od kredytu, zaciągniętego na kupno tych akcyj.

Tymczasem są akcje uprzywilejowane, które muszą dawać po 7 dolarów od stu rocznie dywidendy. Te akcje znajdują się w ręku... Flicka i Harrimana osobiście. Ci nie są obowiązani do płacenia podatku dochodowego w Polsce...

Tak wygląda materjał faktyczny sprawy śląskiej. Wystarczy go dla wyciągnięcia kilku prostych i oczywistych wniosków.

Administracja powikłanemi interesami holdingowemi jest bardzo kosztowna, ciężka i biurokratyczna. Opłaca się to jednak sowicie, gdyż korzyści,

wynikające z pozbawienia państwa należnych mu podatków, a małego akcjonarjusza należnego mu udziału w zysku, pokrywają straty, wynikające ze zbyt wielkich kosztów administracyjnych.

W ten sposób w wielkich grupach holdingowych nie widać tych korzyści, które daje inicjatywa prywatna. Nie dobrą organizacją, a różnemi oszustwami, dokonywanemi często w ramach prawa, ale nie w ramach etyki, utrzymują się przy życiu holdingi. Zysk osiągany przez wielkich kapitalistów nie jest w tym wypadku wynikiem ich pracy, nie jest przez nich wytworzony, lecz zabrany innym w sposób niemoralny.

WOJCIECH ZALESKI

WICHRZENIA ŻYDOWSKIE ZA JANA III

Od wybuchu powstania kozackiego, Polska, niszczona przez toczone bez przerwy wojny, traciła powoli potęgę mocarstwową i gospodarczą. Kraj stawał się terenem poczynań zbrodniczych elementów, dążących do rozsadzenia od wewnątrz słabnącego państwa. Świetne zwycięstwa Sobieskiego nie były w stanie uniemożliwić tej działalności. Odwrotnie, w okresie panowania bohaterskiego władcy, szczególnie w ostatnich latach jego życia, widoczny dla wszystkich był potęgujący się z roku na rok bezład.

W tym to czasie rozpoczynają niszczycielską działalność w kraju dwaj potentaci żydowscy, a mianowicie doktór Simcha Menachem *vulgo* Emanuel de Jona (po hebrajsku wi Jona), pochodzący z prastarej rodziny, wywodzącej się, zdaniem pisarzy żydowskich, Bubera i Caro od proroka Jonasza, i faktor królewski, Jakób Becal ben Natan, rodem z Rusi, skoligacony z najpoważniejszemi rodzinami żydowskiemi w Polsce.

Już jako młody lekarz, Emanuel Jona, obok rozległej praktyki, jaką posiadł wśród ludności lwowskiej, zajął się gorliwie ówczesną gminą żydowską, dokładając starań, by podnieść ją duchowo i materjalnie. Zasiadł też Jona wśród senjorów gminy, której radą i czynem starał się pomóc. A do tego miał wiele sposobności, gdyż polecony Janowi III, umiał królewskiemu pacjentowi dogodzić, stając się coraz bardziej potrzebnym. Rodzina Sobieskich, chcąc mieć Jonę blisko pod ręką, na każde zawołanie, poleciła mu osiąść w Żółkwi.

Na tem stanowisku Emanuel Jona, jak pisze Bałaban („Z historji żydów" str. 53), dzięki obszernym znajomościom i koneksjom „wiele mógł dobrego zdziałać dla swych współwyznawców". W 1693 r. wyjeżdża on ze Lwowa, gdzie zajmował ze swoją rodziną najładniejszy dom w dzielnicy żydowskiej, zwany „kamienicą doktorską", osiedlając się w Żółkwi, w sąsiedztwie króla i dostojników dworu. Powołany przez Sobieskich, wkradł się wykształcony i przebiegły żyd w krótkim czasie w łaski schorowanego władcy. Nieodłączony towarzysz i doradca Jana III, umiał też Jona zjednać sobie początkowo rodzinę królewską.

Wielce pomocny był mu Jakób Becal, faktor i dzierżawca jednego z kluczów królewskich, żyd, o którego niecnych czynach krążyły liczne pisma łacińskie i polskie z rąk do rąk, aż przedostały się zagranicę. Jedno z takich pism przedrukował Tenzel w swych „*Monatliche Unterredungen*". Autor opowiada tutaj o zbrodniach Becala i jego ujemnym wpływie na chrześcijańską ludność w Polsce. Inaczej zapatrywali się na działalność faktora królewskiego jego współwyznawcy, którzy, w uznaniu zasług położonych dla „synów Jakóba", wybrali go prezesem gminy żydowskiej w Żółkwi.

Powołany na lekarza przybocznego, Emanuel Jona wywierał niemały wpływ na Jana Sobieskiego. Król, który był bardzo złym pacjentem i lekceważył sobie wzkazówki uczonych medyków, nazywając ich wisielcami, uwierzył, rzecz dziwna, Jonie. Na dworze, jak pisze Bałaban: „ufano wiedzy i sztuce lekarskiej Jona, lecz nie lubiano go". Król nie troszczył się jednak o sąd otoczenia, poddając się przepisanym przez Jonę kuracjom.

Tymczasem wpływy Emanuela Jona na dworze królewskim stale wzrastały. „Przez jego dom",— zaznacza Bałaban (art. „N. Prz." p. t. „Jan III a Żydzi" 17.IX.1933 r.),—„przewijali się mężowie wielkiego pokroju, często wielcy politycy, szukający poprzez lekarza protekcji do króla". Zniechęciło to do niego Marysieńkę, która w jednym z listów do siostry Jana III, Katarzyny Radziwiłłowej pisała: „Król mój... mógłby przyjść do pierwotnego zdrowia z łaski Boskiej, kiedy by chciał rad żydowskich oddalić od siebie, których gotów słuchać, co mnie niesłychanie turbuje".

Ze wzrostem wpływów doradców żydowskich, Jony i Becala, upadała coraz bardziej w oczach narodu powaga króla Jana III. Niemały cios zadał jej głośny w owych czasach proces Becala, zakończony infamją i konfiskatą majątku faktora królewskiego[1]).

W tym smutnym momencie w dziejach narodu polskiego, kiedy stale pogłębiała się przepaść między szlachtą, a domem królewskim, umiera Jan III. Zgon bohatera chrześcijaństwa nasunął poważne podejrzenie, że doktór Jona przyczynił się do śmierci króla. W kraju szerzyła się wieść, że żydowski lekarz otruł Jana III. Wytoczono Emanuelowi Jona proces. Uniewinniony, powrócił Jona do Lwowa.

Podczas bezkrólewia rozwinął on szeroką działalność polityczną. Śmierć Sobieskiego przypadła w arcywygodnym momencie dla żydostwa. W tym czasie działał w Wiedniu wielki bankier żydowski, Samson Wertheimer. Nie był to byle kto w świecie żydowskim. Ni mniej, ni więcej — „książę wygnania". Służąc skarbowi austrjackiemu licznemi pożyczkami, pozostawał Wertheimer, wraz ze swoim wujem, Samuelem Oppenheimerem, w ścisłych stosunkach finansowych z Polską. Egzylarcha żydowski był bowiem „nietylko faktorem cesarza (*Oberhoffaktor*), lecz także faktorem króla polskiego" (Bałaban: „Z historji żydów", str. 59). Jako taki nie mógł Wertheimer nie nawiązać ściślejszego kontaktu z tak wydatnemi figurami ówczesnego żydostwa polskiego, jakiemi byli Emanuel Jona i Jakób Becal.

Przy wyborze nowego króla wpływy i pieniądze żydowskie zaważyły poważnie na szali. August II Saski miał u Wertheimera otwarty kredyt, gdy

---

[1]) Obszerniej o machinacjach i procesie Becala pisałem w artykule p. t. „Z ostatnich lat Sobieskiego" w nr. 40 „Myśli Narodowej" z r. b., str. 592-3.

zabiegał o koronę polską (Bałaban: „Studja historyczne“, str. 131). W Polsce wielce pomocnym był „księciu wygnania“ Emanuel Jona, cieszący się niezwykłem poważaniem w masach żydowskich. Można śmiało przypuszczać, że za pośrednictwem Jony docierały wówczas nakazy od kierowników światowego żydostwa do „ludu wybranego“ w Polsce. Ponieważ Jakóba Becala nie stało, więc na barkach Jony spoczywał główny ciężar depravacji szlachty polskiej przy wyborze Sasa. Przebiegły żyd wywiązał się z powierzonego mu przez Wertheimera zadania bardzo dobrze. Bezkrólewie 1696 — 1697 r. było jednem z najopłakańszych w historji Polski. Najpoważniejsze kandydatury: królewicza Jakóba i ks. Ludwika de Conti upadły, dzięki sojuszowi żydowsko-niemieckiemu. Później wystąpił jako kandydat elektor saski, Fryderyk August, który, będąc protestantem, przeszedł na katolicyzm, aby uczynić zadość prawu. Poważne wpływy, jakiemi rozporządzał Jona w Polsce, walnie dopomogły Sasowi. „Umiał Jona wiele zdziałać...“,—pisze Bałaban („Z historji żydów“. str. 53),—„dzięki swym licznym znajomościom z czasów, kiedy jeszcze leczył nieboszczyka króla“. Nie wahano się też przed przekupstwem. Wetheimer i jego satelici dostarczyli potrzebnych funduszów. Poruszono więc wszystkie sprężyny przy wyborze na tron polski Sasa, który poto dał się obrać królem, aby rokować potajemnie o rozbiór Polski i dać początek epoce, która doszczętnie zrujnowała Rzplitą.

Mógł teraz Emanuel Jona zażywać zasłużonego odpoczynku. Przebywał on stale we Lwowie, otoczony niezwykłą czcią ludności żydowskiej. Do niego udawano się ze wszystkich stron o pomoc i poradę. Gmina żydowska we Lwowie mianowała go jałmużnikiem Ziemi świętej. Jona bywał też stale wybierany do sejmików żydowskich i na sejmy walne żydowskie, czyli t. zw. zjazdy czterech ziem. Sława jego rozeszła się daleko poza mury Lwowa. W 1699 i 1701 r. sejmy żydowskie dwukrotnie wybierały go swym przewodnikiem, marszałkiem żydów koronnych. Nakazów jego słuchało uważnie całe ówczesne żydostwo w Polsce. Sejmiki żydowskie w swoich uchwałach powoływały się stale na wyroki rabinów i „decyzję księcia i pana, znakomitego lekarza, d-ra Simchy“ (Bałaban: „Z historji żydów“, str. 54).

Czczono pozatem w Emanuelu Jonie mędrca Syjonu, słynącego ze swej znajomości Talmudu. Rabini XVIII wieku, jak Ezechiel Landau w Pradze (w swem dziele „Noda B'Jehuda“), a z późniejszych Akiba Eger w Poznaniu, powołują się na jego orzeczenia talmudyczne. Znany cadyk Joel-Baal-Szem-To z Zamościa opowiada we wstępie do swego dzieła „Mifalet Elekim“, że wiele zawdzięcza uczonemu d-rowi Simsze. W marcu 1702 r. umarł ten wpływowy żyd we Lwowie. Na jego grobie widnieje do dzisiaj następujący napis: „Tu spoczywa uczony pan i władca w Izraelu, książę i chwała wieku“...

ANTONI RAWICZ

ARS VULGIVAGA

Z POŚRÓD wielu uroszczeń współczesnego demokratyzmu największe politowanie budzą jego uroszczenia do sztuki. Jako rzekomy przedstawiciel wielkiego, szarego mnóstwa ludzkiego, demokratyzm ogłosił, że tłumy łakną sztuki, jak chleba, że zatem trzeba im ją codzień świeżą wypiekać i rzucać na rynek w ilościach, któreby zaspokoiły gwałtowny popyt mas wygłodzonych. Do haseł tych dorzucono jeszcze ponętę, że każda warstwa społeczna i każde pokolenie powinny, mają obowiązek dać w sztuce wyraz ducha swojego, swoich potrzeb i upodobań. Po wojnie światowej wytężona w tym kierunku propaganda trafiła na wyjątkowe przewarstwienia i wzburzenia społeczeństw, co w dużej mierze ułatwiło jej wyłowienie z zamętu niebywałej ilości „wyrazicielów i wyrazicielek“ pokolenia, oraz ludu we wszelkich jego odmianach. Ster całego zjawiska objęła, naturalnie, polityka stronnictw lewicowych i rządów demagogicznych. W wyniku otrzymano obfity plon sztuki, którą w Rosji nazwano proletarjacką, a w innych krajach — demokratyczną.

Nie wszystkie jednak sztuki poszczególne w jednakim stopniu zostały zalewem tym zaszczycone. Tłumy artystycznych wyrazicielów i wyrazicielek pokolenia poszły w kierunku najmniejszego oporu i nie dały się wciągnąć do tych sztuk, które wymagają długoletnich studjów uprzednich, wielkiego nakładu pracy i wiedzy obszernej. Sztuki plastyczne, muzyka i teatr najmniej wyrazicielom się podobały i prędko z ich nadmiaru się otrząsnęły. Natomiast poezja, jak ciepłe morze w porze tarcia, zaroiła się ławicami ryb różnego gatunku. Poczciwa poezja! Żadnych tu nie potrzeba studjów, żadnych narzędzi: najprostszy alfabetyzm, trochę gramatyki ze szkoły powszechnej i najskromniejszy przybór do pisania — oto cała zbrojownia poety. Tak! To jest sztuka pod każdym względem, prawdziwie demokratyczna, bo zważmy, że nietylko wytwórców swoich nie zadręcza, ale i do odbiorców najłatwiej dociera. Pozór łatwości i dostępności zwabił wielu, i oto poezja w radosnym wyścigu twórczości demokratycznej o sto z ogonem długości wyprzedziła wszystkie muzy — współzawodnice.

W ostatniem piętnastoleciu w Polsce dzięki panowaniu w niej żydów, poezja najbujniej rozkwitła. Młode żydki, prosto z chederów, masowo na nią się narzuciły, z wielkim hałasem za młodą Polskę się ogłosiły, nowożytną dla niej reklamę zorganizowały, kilkadziesiąt coraz nowych „izmów“ poetyckich rozpowszechniły, i tą planową prowokacją zgromadziły dokoła siebie wszystkich sławy żądnych grafomanów narodowości polskiej. W ciągu piętnastu lat wyrosła cała armja poezji polskiej, krzykliwa i swarliwa, ale w zasadzie sztabowi żydowskiemu posłuszna. Społeczeństwo polskie, czem innem zajęte, rozbite jeszcze i zgorączkowane, zostało zbombardowane setkami tomików i tomów nowej poezji, milczeniem jego rozzuchwalonej. Prasa kryptożydowska grzmiała bezustannie wszystkiemi trąbami Jerycha, a literackie sfery polskie przyjęły nowe objawienie sztuki z uległością tchórzów i naiwnością niemowląt. Korytami propagandy kulturalnej, kierowanej przez żydów, poezja owa przedostaje się na rynki zagraniczne, i tam, przed Europą i światem reprezentuje ducha narodu polskiego oraz dostojeństwo państwowe.

Równolegle do tej działalności pozytywnej odbywa się burzenie, oczernianie i ośmieszanie war-

tości poezji minionej. Przyrodzoną cechą żydostwa jest to, że wywyższa siebie tylko przez poniżanie innych. Zaczęła się zatem i trwa zorganizowana robota, polegająca na poniżaniu w świadomości ogółu polskiego i poniewieraniu poezji wielkich twórców, jak Mickiewicza, Sienkiewicza, Wyspiańskiego. Żydzi nie wysuwają się w tej robocie na czoło: byłoby to jeszcze teraz trochę niebezpieczne. Czynności te powierzają polskim, lub napół-polskim rękom wykonawczym, ale że oni kierują, więc ów ruch niby rewizyjno-krytyczny posiada wszystkie cechy ducha żydowskiego: jest napastliwy, bezczelny, chamski i plugawy. Żydzi osiągać tu mieli dwie korzyści: robić miejsce dla siebie i nastawiać ogół polski, zwłaszcza młodzież, wrogo przeciw źródłom szlachetnej kultury rodzimej. Rozkładanie ducha narodów jest odwieczną świętą misją „narodu osobliwego“. Miejsce i czas ostatniego przekwitu i gwałtownego gnicia demokratyzmu doskonale do tej misji się nadają. Panowanie żydów nad Polską niepodległą pozostawi w literaturze polskiej wyraz swój wszechstronny i dobitny.

Sprowokowana w ten sposób i z najciemniejszych kątów dobyta, polska (to znaczy: nie przez żydów, ale przez Polaków robiona) poezja współczesna, w uroszczeniach autorów swoich ma stanowić wyraz żyjącego dziś pokolenia. Że jednak sami owi poeci głośno i często uskarżają się na obojętność społeczeństwa, więc fakty przez nich samych stwierdzone przeczą własnym ich uroszczeniom. Odpowiedzialność za swoją poezję ponoszą całkowicie oni sami, jest ona wyłącznie ich duszy wyrazem, a jeśli odzwierciadla cokolwiek ponadto, to tylko atmosferę nielicznej warstwy snobów wielkomiejskich, karjerowiczów i ciemnych figur, u przedsionka władzy stłoczonych. A wiadomo, że jest to motłoch duchowy, skłębiona, zziajana ciżba wszelkiego rodzaju mętów społecznych, jeden tylko przed oczami ideał mających — szybkiego dorobienia się fortuny. Jest to jedyna w społeczeństwie warstwa, która świat i życie widzi w kształtach, jakie im owa poezja nadaje, w jej barwach, dźwiękach, zapachach, a także na jej poziemie moralnym i umysłowym.

Nie było bodaj w dziejach ludzkości przykładu takiego zohydzenia sztuki, jakiego obecnie dokonała owa polska poezja nowatorska. Najpierwotniejsze, samorodne utwory poetyckie z nowożytnej dżungli ludzkiej wielkich miast i portów, z takich sfer, jak „apasze“, złodzieje, bandyci, fałszerze, stoją na wyżynach czystości duchowej, uniesienia wzruszeń, artyzmu wrażeń, harmonji i plastyki wyobrażeń — w porównaniu do dzieł reklamowanej, „nowej” poezji polskiej. Sponiewieraną, niby dziewkę brudną i cyniczną, w łachmanach i z papierosem w żółtych zębach, o spojrzeniu wyzywającem i głosie ochrypłym — włóczą owi poeci poezję swoją po zaułkach ulic, śmietnikach, kloakach, pisuarach i porkografjach, po najciemniejszych norach ludzkich, pośród plwocin suchotniczych, w nieudolnych zresztą — obrazach nędzy i upadku. A w swoje dni odświętne, ubrawszy ją nieco, przebiegają z nią galopem pośród tramwajów, taksówek, autobusów, parowozów, wystaw sklepowych, reklam kolorowych i kin, uważając to wszystko za objaw epoki i objawienie współczesności ludzkiej. Najszczytniejszem wzniesieniem ich ducha są boiska sportowe, widziane oschle, bez zachwytu i zapału bodaj zawodowego sportowca, ale przez wodniste szkiełka nudzącego się snoba z grymasem oglądane. Dla odpoczynku tak zagnanej poezji biorą ją pod swoją opiekę „wyrazicielki pokolenia“ — różne panienki dobrze wychowane — stenotypistki, maszynistki biurowe, sekretarki, i zabawiają kotkami, myszkami, kaczkami, robótkami szydełkowemi, a to w sposób słodki, karmelkowy, aż do mdłości banalny. Taki jest całkowity obraz poezji nowatorskiej. Sponiewierana i do cna ogłupiona *ars vulgivaga*.

Byłoby to dla ducha narodu polskiego zjawisko równie groźne, jak jest chorobliwe, gdyby owa poezja, tak programowo „demokratyczna“, posiadała możność i zdolność przenikania do szerokich warstw naszego społeczeństwa. Ale zważmy rachunkiem, jak bardzo słuszne są jej narzekania na obojętność i niechęć otaczającego ją ogółu. Nasz lud rolniczy, robotniczy i rzemieślniczy, nasze warstwy średnie — wiejskie i miejskie, czyli 99% narodu nie wie nawet, że ta poezja istnieje. Nie przenika ona w te głębie społeczne i nigdy nie przeniknie. Minie i w przeszłość zapadnie całkiem niedostrzeżona. Z pozostałego jednego procentu społeczeństwa zaledwie cząstka ma czas i chęć na czytanie poezji bieżącej, a zaledwie cząstka tej cząstki może obnosić się wśród znajomych z powierzchowną jej i czczą reklamą, — reklamą nazwisk autorów, lecz bez ich treści. Czytelniczym ogółem owej poezji nowatorskiej jest zatem conajwyżej jedna setna procentu polskiej ludności kraju, czyli właśnie ta hałaśliwa, ale znikoma garść snobów i karjerowiczów, która ze wszech miar zasługuje na nazwę motłochu wielkomiejskiego. Motłoch ten tak czy owak, z poezją nowatorską, czy bez niej, skazany jest na szubienicę losu, i prędzej czy później na niej zawiśnie. Ta zaś poezja trzyma się jeszcze na powierzchni księgarskiej tylko dzięki protektorom swoim — żydo i kryptożydowskiej prasie i plutokracji. Patron i pupil doskonale wzajem dobrani, tylko brak im... klijenta. Więc pupil popłakuje, a patron się wścieka.

Wbrew mniemaniu demokratycznych historyków poezji, sztuka jest arystokratyczna i za taką uważa ją trafne poczucie ogółu ludzkiego. Arystokratyczna w potrójnem tego słowa zastosowaniu: w stanowisku twórcy, w środkach jego wyrazu i w nastroju odbiorcy. Stanowisko artysty powinno być górne, a nie pospolite. Jego stosunek do przedmiotu sztuki ma wynikać z najgłębszych wzruszeń, wrażeń i wyobrażeń, w człowieku czynnych, a nie z szarej jego, zapracowanej, albo znudzonej codzienności. Środki wyrazu mają być czyste i wyborowe, zatem dalekie od niechlujstwa naturalizmu. Nastrój odbiorcy musi być równie czysty, górny i świąteczny, czyli że sztuka nie może być wido- i słuchowiskiem dnia powszedniego dla tłumów ludzkich, ale wyjątkiem dla niewielu. Tak czuje ogół ludzki i tak samo czuje i myślą tę sprawę osądza najwytworniejszy człowiek kultury. Gdyby zatem owa gromada poetów nowatorskich chciała do gruntu swój programowy demokratyzm przemyśleć i zastosować, musiałaby pójść za poczuciem swojego pana — demosu, i przedewszystkiem zamilknąć, nadługo zamilknąć. Ale wiadomo, że niema trudniejszego szczytu do wzięcia, niż ów lodowy szczyt milczenia, zwłaszcza dla poetów...

I dlatego długo jeszcze będziemy świadkami przykrego widowiska reklam i krzyków, pod któremi słania się ta biedna, chora, sponiewierana *ars vulgivaga*.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

CHESTERTON O NACJONALIŹMIE I RELIGJI

WYOBRAŻAM sobie[1]), że religja może rzeczywiście łączyć narody, jak np. Islam zjednoczył zadziwiająco różnorodne ludy. Ale internacjonalizm nie jest religją. Jest „izmem", a „izm" nie jest nigdy religją. Jest to abstrakcja, nie będąca absolutem. Naród zaś jest rzeczą istniejącą; może to być rzecz zła, albo godna pożałowania, ale jest to rzecz, a nie teorja. Istnieją pewne sposoby łączenia się rzeczy żywych; są one wtedy złączone wzajemnym chwytem; nie spięte razem, czy sklejone, czy naukowo zdrutowane; przylegają do siebie wzajem, trzymają się razem; łączą się same. I zawsze istnieje to samo nieporozumienie między dwoma typami myślicieli, które żyją na dwu odmiennych płaszczyznach myśli; między tymi, którzy myślą o istotach ludzkich, jako o ludzkości, a tymi, którzy myślą o ludzkości, jako o istotach ludzkich.

A przecież humanitaryści mogliby nauczyć się prawdziwej lekcji nawet na przykładzie ludzkości. Wiem np., że jestem zwierzęciem, opisywanem przez Greków, jako „*Anthropos*"; może niespecjalnie okazem, nadającym się do muzeum; jakkolwiekbądź jednak, należę niewątpliwie do tego gatunku. Ale gdyby jakiś profesor, oprowadzający publiczność po muzeum, przedstawił mnie jako antropoida, doznałbym niemiłego uczucia powątpiewania i wrażenia nierzeczywistości. Mogę w istocie być spokrewniony biologicznie z większemi małpami w sąsiedniej klatce, czy oszklonej gablocie; chociaż przypuszczam, że z czasem profesor doszedł do przekonania, iż jestem siostrzeńcem małpiatki, albo ubogim krewnym lemura. Zgódźmy się jednak dla dobra dyskusji, że według pewnej abstrakcyjnej klasyfikacji naukowej jestem bliższy małpie antropoidalnej, niż jakiemukolwiek innemu zwierzęciu. Ale jeżeli ktoś powie, że jestem w rzeczywistości bliższy małpie antropoidalnej, niż jakiemukolwiek innemu zwierzęciu, poprostu wiem, że to nieprawda. Jestem o wiele bliższy memu psu. Prawdę mówiąc, nie odczuwam subtelnych odcieni w uczuciach orangutanga; niezmiernie rzadko kieruję się uczuciem czy sentymentem w mych stosunkach z szympansami; nie wiem, czy kiedy wysnuwałem praktyczne wnioski z mojej wiary, że babuinowi można istotnie powierzyć pilnowanie dziecka, czy nawet wykrycie złodzieja. Wiem, że związek człowieka z psem jest związkiem rzeczywistym i wiem także, że związek między człowiekiem, a małpą antropoidalną jest związkiem teoretycznym; nawet mimo to, że teorja może odnosić się do jakichś rzeczy rzeczywistych w świecie nauki.

I tak te dwa zwierzęta mogą służyć za przykłady do zilustrowania, na czem polega według mnie różnica między faktem a mrzonką. Pies przedstawia wszystko, co rzeczywiste i związane z historycznością. Małpa reprezentuje wszystkie abstrakcje, związane z tem, co przedhistoryczne. Historyczny człowiek w ciągu całej swej historji miał psa i nigdy o nim nie zapominał; przykłady znaleźć można w Biblji i „Odyssei". Jeżeli zaś przedhistoryczny człowiek rzeczywiście miał wujaszka, który był przedhistoryczną małpą, to zapomniał o tem zupełnie przez ten czas, kiedy stawał się człowiekiem historycznym. Prawdę mówiąc, przypuszczam, że nigdy nawet nie odkrył swego wujaszka, zanim nie zaczął na niego polować w końcu XVIII wieku. A teraz, zależnie od tego, czy ludzie rozumieją tę różnicę między doświadczeniem, a pojęciem, zrozumieją też, albo nie, dobre i złe strony narodu; naród bowiem nie jest pojęciem. Możecie powiedzieć, że narody więcej przynoszą szkody, niż pożytku, tak, jak możecie powiedzieć, że z psami jest więcej kłopotu, niż są warte; możecie sobie powiedzieć, że to barbarzyństwo, żeby narody mogły swobodnie walczyć ze sobą, tak, jak możecie rzec, że to barbarzyństwo trzymać psy do polowania. Ale macie tu do czynienia z czemś bardzo różnem od jakiejkolwiek teorji na temat, jakie mogą byś stosunki między istotami żywemi, albo jakie powinny być, czy kiedyś będą te stosunki; macie do czynienia z istotami żywemi i stosunkami, jakie między niemi naprawdę istnieją.

To prawda że kultura Europy pochodzi od czegoś o wiele starszego od wszystkich obecnie istniejących narodów. Prawdą jest też, że chrześcijaństwo istniało na długo przed powstaniem tych narodów. Ale jednocześnie prawdą jest, że ci, którzy trzymają się narodu, trzymają się, choćby bezwiednie, pozostałości pierwotnego życia i to pozostałości żywych, podczas gdy ci, którzy mówią, że tworzą nowe rzeczy, nie tworzą żadnych nowych rzeczy, tylko nowe nazwy. Wiem dokładnie co mam na myśli, kiedy mówię, że jestem Anglikiem, a nie Francuzem, choć zdarzyło się, że mam ogromny podziw dla francuskiej kultury i tradycji. Nie wiem zaś dokładnie, co mają na myśli, którzy mówią, że jestem poddanym Ligi Narodów, czy uczestnikiem jakiegoś paktu, stworzonego przez jakichś polityków w kilku hotelach szwajcarskich. Tak samo nie wiem, co mają na myśli ci, co mówią, że jestem potomkiem małp autropoidalnych, czy Anglo-Sasów, czy Arjów, jakby powiedział Hitler. Nie wiem, co mają na myśli w tym sensie, w jakim ja rozumiem co to znaczy być Anglikiem.

Jak już powiedziałem, prawdziwa religja to byłoby coś innego; bo prawdziwa religja jest wielką rzeczą rzeczywistą, gdy naród jest o wiele węższą rzeczą rzeczywistą. Wziąłem za przykład religję Mahometa i będzie on nam służyć równie dobrze jak każdy inny. Islam jest nietylko abstrakcyjnem twierdzeniem, że jest jeden Bóg, albo, że wiara w Koran jest prawdziwa. Islam jest określoną drogą postępowania. Niektórzy ludzie lubią pędzić życie muzułmańskie; inni nie znoszą tego. Równie prawdziwe jest świadectwo człowieka, który mówi, że Turek jest barbarzyńcą, jak innego (zwykle starszej pani), co mówi, że Turek jest jedynym *gentelman*'em w Europie. Obaj mają coś na myśli, bo obaj naprawdę odwołują się do czegoś istniejącego. Nie odwołują się do niczego, co jakiś polityk przypadkiem włączy do jakiegoś paktu. Ale dopóki nie jesteśmy muzułmanami i nie mamy innej religji w Europie poza naszą, ludzie nie porzucą nigdy zupełnie tego, co jest przynajmniej względnie rzeczywiste; tradycyj swoich własnych ojców i płodnej żywotności zmarłych.

G. K. CHESTERTON

[1]) Znakomity pisarz angielski G. K. Chesterton, piszący stale fejletony w tygodniku „*Illustrated London News*", poświęcił fejleton z 1 lipca r. b. zagadnieniu nacjonalizmu i religji. Podajemy ważniejsze z niego ustępy. — Red.

NA WIDOWNI

Pochwała Boya. — Niedomagania naszej warstwy oświeconej. — Konieczność zmiany jej składu. — O wolne miejsce dla ludu. — Działalność Boya pomaga gładkiemu załatwieniu tej sprawy.

Z WZRASTAJĄCEM uznaniem oceniać zaczynam działalność p. Boya-Żeleńskiego. Nie zaważyło tu, oczywiście, na szali powołanie go na członka Akademji Literatury: dyplom na to, iż jako artysta słowa podniesiony został do rangi Wincentego Rzymowskiego, mimo całej powagi oficjalnej tego aktu, nie dodał, w oczach moich, nowego blasku autorowi „Znasz-li ten kraj?“ i „Słówek“. Zawsze zresztą we właściwy sposób taksować starałem się wartość jego jako stylisty i tłumacza. Uprzytomniam sobie natomiast coraz dokładniej, niedostrzegany poprzednio pożytek z działalności jego jako propagatora „świadomego macierzyństwa“ i ograniczenia urodzeń.

W ciągu paru pokoleń ostatnich, zwłaszcza po r. 1863, w polskiej warstwie inteligenckiej nastąpiło daleko posunięte zmieszanie się z żywiołem żydowskim. W dziedzinie towarzyskiej, kulturalnej, zawodowej i t.p. współżycie z żydami w widoczny sposób wycisnęło piętno na psychice i obyczaju dużej części dzisiejszych naszych sfer oświeconych. Co najważniejsza, w epoce pozytywizmu i haseł asymilatorskich, w tem środowisku właśnie w znacznej liczbie poczęły kojarzyć się małżeństwa polsko-żydowskie, których potomstwo, obecnie w sile wieku, a tem samem największy wpływ mogące wywierać na losy narodu, stanowi pierwszą bodaj w toku dziejów naszych generację, gdzie grupa kierownicza („elita“), w tak poważnym odsetku, rekrutuje się z elementu przez pół tylko polskiego pod względem krwi i tradycji rodzinnej. Stało się to, na co wskazywał w „Wyzwoleniu“ Wyspiański (akt II, djalog Konrada z Maską 12), kiedy mówił o skutkach małżeństw mieszanych: „Że wytwarza się tłum ludzi obojętnych dla naszego narodowego społeczeństwa, którzy je zaprzedają“.

Te więzy stosunków osobistych, interesów, w tylu wypadkach krępujące inteligenta polskiego wobec żyda, te więzy krwi, paraliżujące instynkt narodowy polski ze zdrowemi, normalnemi jego odruchami, mniej widoczne bywały w tych momentach, gdy kwestja żydowska nie wysuwała się jako zagadnienie naczelne, kiedy myśl i działalność społeczeństwa naszego zwracały się przedewszystkiem w innych kierunkach. Dzisiaj, przy nieustannie rosnącem znaczeniu tej sprawy staje się rzeczą oczywistą, jak dalece całe wielkie odłamy warstwy inteligenckiej w Polsce, wskutek swej psychiki, atmosfery, w której ich umysłowość się kształtowała, uzależnień rozlicznych, wreszcie wprost obcości swojego pochodzenia — nie są już zdolne podjąć przewodnictwa w narodzie i poprowadzić go ku pomyślnem rozwiązaniu narzucanych przez chwilę historyczną zadań. Tem konieczniejsze i tem wyraźniej naglące jest też obecnie zastąpienie nieodpowiednich przez żywioły, najbardziej wolne od skażenia i rozkładu, najbardziej rdzenne.

Polski lud dlatego przedewszystkiem powołany jest do odnowienia teraźniejszego składu warstwy inteligenckiej, ponieważ jest więcej polski, niż pokaźna część dzisiejszych kół oświeconych w kraju, więcej polski: krwią, instynktem, całą swoją postawą duchową. Przed kilkunastu dniami, bawiąc przejazdem w Częstochowie, parę godzin przesiedziałem w redakcji tamtejszej „Gazety Narodowej“ (nawiasem mówiąc, najlepiej chyba, najumiejętniej redagowanego tygodnika tego typu na prowincji). Co chwila zjawiali się włościanie ze wsi okolicznych, zdając sprawę z odbytych dnia poprzedniego wyborów do rad gromadzkich, opowiadając o sposobach ich przeprowadzenia, przynosząc do przejrzenia napisane przez siebie protesty przeciwko popełnionym przy tej sposobności nadużyciom. Miałem w ręku owe protesty: koślawe, niewprawne litery, czasem nawet trafi się błąd ortograficzny, ale jaka godność, jaka powaga dostojna dźwięczy w takich naprzykład wyrażeniach: „...i nie daj Boże, żeby naród przekonał się, że niema sprawiedliwości, bo na tem wszystkie państwa w świecie stoją, żeby prawo było szanowane...” Jakby czytało się wspaniałe mowy sejmowe przywódców szlacheckich z epoki walk o „naprawę Rzeczypospolitej“ w wieku XVI: Rafałów Leszczyńskich czy Orzelskich!

Chłop nasz bliższy jest duchowi i tradycjom dawnej Polski, aniżeli wielu współczesnych inteligentów. Język, którym się wypowiada, podobniejszy jest słownictwu Zamoyskich i Żółkiewskich, niż polszczyzna Stpiczyńskiego albo Hemara. Kiedy modli się na Jasnej Górze, więcej ma wspólnego z Kmicicem, niż największą „fantazją kawalerską“ obdarzeni, stali bywalcy „Oazy“. W jego życiu codziennem i obyczaju, w jego związku z ziemią, w jego pojęciach religijnych i moralnych zachowały się nietknięte wartości, przekazane jako odwieczne dziedzictwo pokoleń, a tak dzisiaj lekkomyślnie trwonione, niszczone nienawistną, obcą nieraz dłonią. Odbudowująca swoją wielkość, nawiązująca do starych wspomnień potęgi i chwały, Polska jutrzejsza, z konieczności tam nadewszystko szukać musi zasobów swej siły, gdzie utrzymały się one w stanie najbardziej nienaruszonym, w postaci najczystszej. „Tej dawnej wiary trza nam leków“ i wiemy na szczęście, gdzie jest zdrowie, gdzie rękojmia pomyślniejszej przyszłości narodu.

Duży odłam warstwy inteligenckiej u nas: żydowskiej, uzależnionej od żydów i zżydziałej, pozbawionej instynktu polskiego, wyzutej z sumienia, musi przestać istnieć, opróżniając miejsce dla żywiołów, nierozłącznie zespolonych z narodem, stanowiących jego wyraz autentyczny, rodzimych. To jest rzeczą nieuniknioną i niepotrzebnie zgoła pisarze i działacze żydowscy w czasach ostatnich okazują z tego powodu tyle zdenerwowania. Bodaj najrozsądniejszem jeszcze, w tem położeniu, jest to właśnie, co od kilku lat proponuje swym wielbicielom p. Boy-Żeleński, zachęcając czytelników „Wiadomości Literackich“ do „świadomego macierzyństwa“ i planowego zmniejszania cyfry urodzeń. Jeśli jest u nas nadmiar ludności, zwłaszcza wśród sfery oświeconej, to oni przecież, zwolennicy p. Boya, przedewszystkiem ten nadmiar stanowią. Może jest nawet jakaś podświadoma wdzięczność w tym gorącym niewątpliwie entuzjazmie, z jakim się autor „Piekła kobiet“ spotyka w owem środowisku, za to, że dał mu najbardziej sielankowy, najmniej bolesny sposób dobrowolnego zredukowania się i zaniku, przedtem nim jeszcze rozwój stosunków w Polsce uczyni redukcję tę rzeczą gwałtownie już naglącą i przymusową. Nie żądajmy od Boya-Żeleńskiego nazbyt wiele: każdy działalność swą rozwija na tym

poziomie i w tym zakresie, jaki dla niego jest najbardziej przyrodzony, najwłaściwszy. Na moralną aprobatę, oczywiście, propaganda jego nigdy nie będzie mogła oczekiwać. Ale, w imię bezstronności, stwierdzić należy, że jeśli o polsko-żydowski światek chodzi, światek, w którym twórca „Słówek“ jest wyrocznią, robi on, co jest w jego mocy, ażeby nadchodząca ewolucja dokonała się w sposób możliwie łatwy, gładki, łagodny, bez niepotrzebnych, nieprzyjemnych częstokroć starć i utrudnień. Ze swojej strony i on także pracuje nad przygotowaniem wolnej drogi dla młodego pokolenia narodowego i nadchodzących lepszych czasów.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

PAŃSTWO ma strukturę mniej lub więcej logiczną; naród jest zbiorem sprzeczności. Dlatego jest istnością wyższego rzędu. Państwo zamyka się doskonale w ramach konsekwentnej teorji prawnej. O narodzie teorje dać mogą tylko symplistyczne i niezupełne wyobrażenie. Naród nie jest rozwinięciem żadnej zasady naczelnej, żadnej „idei“; jest zbiorem sprzeczności, które tradycyjnie i harmonijnie w cywilizacji jego współistnieją. Ułożyła je tak historja, że sobie mało zawadzają, albo nawet wzajemnie sobie są potrzebne. Nie jest wcale więcej narodowy ten sposób myślenia, który mniema, że możnaby udoskonalić naród przez wyrugowanie sprzeczności i zapewnienie zwycięstwa jednej naczelnej zasadzie. Nie jest wcale więcej nacjonalistyczny ten kierunek polityki, który niszczy autonomję uniwersytetów w imię walki... z liberalizmem. Nie przeniknie tajemnicy narodu, kto przypuszcza, że zbiorowość scementuje się mocniej, jeśli w jednostkach zaniknie indywidualny głos sumienia i zmysł prawdy. Daleki od zrozumienia misterjum narodowego będzie ten, kto przez patrjotyczną gorliwość będzie starał się pobudzić do nienawiści w stosunku do narodów innych. Na złej drodze będzie, kto ze stanowiska ideologji „narodowej“ oceniać zechce sumarycznie kolektywizm czy indywidualizm gospodarczy. Wszelkie symplistyczne pojmowanie narodu przywiązać musi w pewnych dziedzinach do fikcyj i narazić na rozbrat z duchem narodowej cywilizacji. Sprzeczne ze stanowiska abstrakcyjnej logiki pierwiastki w cywilizacyjnej tradycji narodu nie kłócą się ze sobą dlatego, że, jak wspomnieliśmy, kanty sprzeczności tych starła historja. Nie jestem ani trochę mniej patrjotą przez to, że wypowiadam krytyczne uwagi o rządzie. Nie świadczy wcale źle o mojej ofiarności dla ojczyzny fakt, że coś posiadam na własność prywatną. Nie wynarodawia mnie wcale okoliczność, że wierzę w religię powszechną. Jeśli przyczyniam się do poderwania autonomji wyższych uczelni, nie „liberalizmowi“ szkodzę, ale cywilizacji narodowej.

Ład narodowy jest w gruncie rzeczy bezimienny: nie zasadza się na wcieleniu w życie jakiegokolwiek „izmu“, polega na harmonijnem współistnieniu głównych, choć teoretycznie „sprzecznych elementów tradycyjnej cywilizacji. Harmonja ta, ma się rozumieć, znika, kiedy cywilizacja w pewnej części przestaje być tradycyjna, kiedy forsownie wprowadzone zostają nowe pierwiastki, nowe sprzeczności. Chaos i zamęt są czemś bardzo różnem od zjawiska porządnej tradycji, narodu.

REFLEKSJE O SPRZECZNOŚCIACH W TRADYCJI NARODU, nie niweczących się nawzajem, lecz parodoksalnie dopasowanych, przychodzą łatwo na myśl z okazji obchodzonej niedawno rocznicy powstania listopadowego. Sentyment, jaki w sercu Polaka, a zwłaszcza Warszawiaka, odżywa na wspomnienie tej rocznicy, wcale przecież nie każe patrzeć pobłażliwiej na polityczną stronę sprawy. Sąd o politycznej wartości powstania wypaść musi dziś bardzo surowo. Wiemy, co sądzić o niedojrzałości umysłowej tych, którzy powstanie wywołali, i jak potępić ciężkie winy tych, którzy zaprzepaścili w rozwoju zdarzeń to, co było do wygrania... W historji Polski powstanie listopadowe jest, być może, raczej smutnym i kompromitującym, niż świetnym i chwalebnym epizodem... Nie zmienia to faktu, że rocznica 29 listopada jest świętem legendy i poezji. Świętem klimatu warszawskiego i Łazienek. Dużo tradycji literackiej i legendy ustnej złożyło się na nie, ale ostatecznie ustanowił je Wyspiański. Krakowianin narzucił w tej mierze wizję swoją Warszawie. Dla Warszawiaka obchód 29 listopada niezaprzeczalnie inscenizowany jest głównie przez autora „Nocy Listopadowej“. Mgła, szaruga i kasztany bezlistne Warszawy są dekoracjami. Pałac i staw w Łazienkach komponują się z widowiskiem, odegranem przez fantazję... Urzędowy program obchodu znany jest dobrze. Jest w nim jednak stanowczo luką, że nie zawiera on obowiązkowego w ten dzień wystawienia „Nocy Listopadowej“ w teatrze. Na przyszłość brak ten należałoby koniecznie powetować. Nie widzieliśmy wprawdzie dotąd zadowalającego wystawienia „Nocy Listopadowej“ na scenie. Ale z roku na rok widowisko możnaby poprawiać i udoskonalać, nadając mu coraz więcej charakter feerji.

SYTUACJA POLITYCZNA W IRLANDJI wchodzi w nową fazę. Obecnie Irlandja posiada niepodległość taką, jaką cieszy się państwo, będące członkiem „Brytyjskiej Rzeczypospolitej Narodów“, czyli „Imperjum Brytyjskiego“. Niepodległość ta jest rzeczywista, ale pociąga za sobą konieczności urzędowego tolerowania fikcji „lojalności wobec Korony“. Członkowie „Imperjum“ nie podlegają ustawodawstwu westministerskiego parlamentu. Mogą nakładać na towary angielskie takie cła, jakie zechcą. Mają własne armje i mogą uzbrajać się, jak im się żywnie podoba. Nie mają obowiązku niesienia Anglji pomocy militarnej w razie wojny. Są dominja, które prawdopodobnie nawet ogłosiłyby w tym wypadku swą neutralność. Mają wreszcie ci członkowie „Brytyjskiej rodziny narodów“ prawo secesji, to jest wystąpienia ze związku wedle ochoty i zerwania więzów łączności międzyimperjalnej... Z tem wszystkiem podległość angielskiej koronie, uwydatniona w terminologji irlandzkiego prawa konstytucyjnego, jest Irlandczykom bardzo niemiła, i drażni ich poczucie honoru narodowego. Już to samo byłoby dla szefa rządu irlandzkiego, de Valery, który zresztą nie krył nigdy swoich przekonań republikańskich, dostatecznie silnym motywem, żeby myśleć o oderwaniu Irlandji od krajów korony angielskiej i o zaprowadzeniu nowego porządku republikańskiego. Intencje de Valery są pod tym względem znane. Ostatnio jednak do motywu poprzedniego przyłączył się także motyw wewnętrzno-polityczny. Podejmując akcję, mającą na celu zerwanie nienawistego związku, de Valera

i jego partja z pewnością bardzo znacznie jeszcze wzmogliby swą popularność w szerokich rzeszach narodu, tembardziej, że rozstrzygnąć miałoby w tej kwestji referendum, a wynik jego, o ile można mniemać, zgóry przesądzony, ostatecznie utrwaliłby stanowisko de Valery jako wodza narodowo myślącej Irlandji i zapewnił mu jeszcze większą przewagę nad nieprzyjazną mu koalicją Cosgrave'a z gen. O'Duffym. Ten ostatni usiłował zdystansować de Valerę, mianując się heroldem irlandzkiego faszyzmu i organizując dla swych celów energicznie bojówkę partyjną. Wątpliwe jednak się wydaje, czy miano faszysty dostatecznie zarekomenduje w opinji mas przywódcę, w stosunku do Anglji o wiele bardziej kompromisowo nastrojonego od de Valery.

Być może więc, że jesteśmy w przededniu pojawienia się w Europie nowej republiki — irlandzkiej. Charakterystyczne dla zmienionych stosunków angielsko-irlandzkich jest, że ten rewolucyjny krok pociągnąłby za sobą jako konsekwencję główną nie zatarg zbrojny, lecz tylko utratę przez Irlandję członkostwa Brytyjskiego Imperjum. Miałoby to dla Irlandji i dziś jeszcze dość poważne skutki gospodarcze. Wprawdzie między Irlandją i W.Brytanją i obecnie istnieje stan, określany jako wojna celna, ale mimo to towary irlandzkie są jeszcze na rynku angielskim w położeniu o wiele korzystniejszem od zagranicznych. Ponadto bardzo liczni Irlandczycy, zatrudnieni w Anglji na najrozmaitszych stanowiskach, uznani zostaliby za obcokrajowców i straciliby odtąd możność zarobku w Anglji. W irlandzkiej ojczyźnie znowu powiększyćby musieli zastępy bezrobotnych... wszystko to niewątpliwie są hamulce, które utrudnią wielce de Valerze powzięcie decyzji w tej zasadniczej sprawie.

POLSKI SŁOWNIK BIOGRAFICZNY

Ze względu na wagę, jaką przywiązujemy do wielkiego przedsięwzięcia, jakiem jest „Słownik biograficzny", podajemy bliższe o nim informacje. Narazie dajemy informacje o organizacji i zasadach wydawnictwa.

POLSKA Akademja Umiejętności, podjąwszy wydawnictwo P. S. B., powołała na redaktora głównego prof. Władysława Konopczyńskiego i uchwaliła 28 stycznia 1931 r. regulamin wydawnictwa (ob. „Rocznik Pol. Akad. Um. 1930 — 1", str. 183—6), według którego zasady tegoż ustala Rada Słownika, stroną finansową publikacji zajmuje się Komisja Wydawnicza, a wypracowaniem i wykonaniem programu Komitet Redakcyjny z redaktorem głównym na czele. Komisję Wydawniczą stanowią sekretarz generalny P.A.U., oraz sekretarze 4 Wydziałów. Do Komitetu Redakcyjnego weszli: Aleksander Birkenmajer (Kr.), Franciszek Bujak (Lw.), Stefan Demby (W.), ks. Tadeusz Glemma (Kr.), Roman Grodecki (Kr.), Marceli Handelsman (W.), Janusz Iwaszkiewicz (Wil.), Stanisław Kot (Kr.), Marjan Kukiel (Kr.), Adam Lewak (W.), Leonard Lepszy (Kr.), Bronisław Pawłowski (W.), Adam Skałkowski (P.), Kazimierz Tyszkowski (Lw.), Adam Wrzosek (P.), oraz (od listopada 1932 r.) Andrzej Wojtkowski (P.).

Radę Słownika stanowią członkowie Komitetu Redakcyjnego, Komisji wydawniczej, trzej delegaci Pol. Tow. Historycznego, reprezentanci Towarzystw naukowych: Warszawskiego, Lwowskiego, Poznańskiego, Wileńskiego, trzej delegaci Wydziału Archiwalnego, delegat Wojskowego Biura Historycznego, oraz członkowie osobiście przez P. A. U. powołani, mianowicie: Adam Chmiel (Kr.), Samuel Dickstein (W.), Antoni Gałecki (P.), ks. Michał Godlewski (Kr.), Bolesław Hryniewiecki (W.), Zdzisław Jachimecki (Kr.), Ludwik Krzywicki (W.), Feliks Kucharzewski (W.), ks. Konstanty Michalski (Kr.), Władysław Natanson (Kr.), Witold Rubczyński (Kr.), Tadeusz Sinko (Kr.), Stefan Surzycki (Kr.), Władysław Szumowski (Kr.), Władysław Tatarkiewicz (W.), Leon Wachholz (Kr.). Redaktor ma do pomocy biuro, którem kieruje Kazimierz Lepszy.

W poszczególnych dzielnicach Polski pracują komitety miejscowe (regjonalne) lub ekspozytury Redakcji, których zadania obracają się głównie w ramach najnowszej historji Polski (po rozbiorach). Ponieważ o niektórych kategorjach osób (takich jak urzędnicy, księża świeccy, uczestnicy walk o wolność, inni działacze polityczni i społeczni, wychowawcy, oświatowcy, dziennikarze, rolnicy, przemysłowcy, kupcy, finansiści, technicy, rzemieślnicy), wiadomości można zbierać głównie w okolicach, gdzie ludzie ci działali, z uwzględnieniem ustnej o nich tradycji, więc komitety miejscowe zajmują się spisywaniem takich osób i kwalifikowaniem wybitniejszych z pośród nich do Słownika; pozatem spełniają zadania zlecone przez Redakcję.

Prezesem Komitetu krakowskiego jest Adam Chmiel, sekretarzem Leon Pilecki.

Prezesem Komitetu lwowskiego jest Franciszek Bujak, jego zastępcą Kazimierz Tyszkowski, sekretarzem Zygmunt Zborucki.

W Warszawie reprezentuje Redakcję aż do formalnego utworzenia się Komitetu miejscowego Adam Lewak.

W Wilnie na czele Komitetu stoją: Janusz Iwaszkiewicz, Stanisław Kościałkowski, Ryszard Mienicki, Michał Brensztejn, sekretarzem jest p. Charkiewicz.

W Poznaniu przewodniczącym jest Adam Skałkowski, zastępcą Andrzej Wojtkowski.

W Katowicach prace przygotowawcze prowadzi specjalna Komisja Śląskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk z ks. Emilem Szramkiem na czele.

W Równem Komitet wołyński zorganizowali Józef Śleszyński, jako przewodniczący, Jakób Hoffman jako sekretarz.

W Lublinie Redakcję reprezentuje Leon Białkowski.

Organizacją Komitetu Pomorskiego zajmuje się ks. Alfons Mańkowski, gdańskiego — Adam Czartkowski.

Nadto przewiduje się utworzenie Komitetów miejscowych w Łodzi, ewentualnie w Kielcach i Grodnie.

Na podstawie osiągniętego w styczniu 1932 r. z Wydziałem Archiwalnym porozumienia, Zarządy Archiwów Państwowych zobowiązały się udostępnić współpracownikom Słownika swe zbiory, tudzież w miarę możności pomagać im siłami własnego personelu.

Zasady wydawnictwa, uchwalone przez Radę na posiedzeniu 24 października 1931 r., są takie:

1. Polski Słownik Biograficzny zawierać ma zwięzłe artykuły informacyjne bez tendencji poli-

tycznej ani moralizatorskiej, uwzględniać ma równomiernie wszystkie czasy, dzielnice i dziedziny, t. zn. podawać życiorysy osób, które odegrały rolę w życiu politycznem, społecznem i kulturalnem narodu polskiego, oraz najważniejsze wskazówki bibljograficzne, ikonograficzne i źródła.

Polski Słownik Biograficzny wychodzić będzie w tomach po 640 stron w dwóch szpaltach po 60 wierszy borgisem; części dodatkowe życiorysów drukowane będą petitem. Ilustracyj nie będzie. Każdy tom stanowić będzie możliwie zamkniętą całość alfabetyczną od A do Z, z indeksem do wszystkich tomów wydanych.

2. W Słowniku będą tylko artykuły o osobach nieżyjących bez żadnych ograniczeń co do czasu.

3. W Polskim Słowniku Biograficznym znajdą miejsce:

a) Osoby czynne w Polskiem życiu państwowem i narodowem w każdoczesnych Państwa Polskiego granicach (w okresie porozbiorowym w granicach przedrozbiorowych aż do traktatów granicznych, zawartych przez Rzeczpospolitę odbudowaną).

b) Osoby czynne w życiu politycznem, społecznem i kulturalnem Polski na ziemiach utraconych i na obczyźnie.

c) Polacy czynni w środowiskach obcych, o ile nie ulegli całkowicie wynarodowieniu.

Osoby, które ze względu na swoje pochodzenie i działalność kwalifikują się do umieszczenia w słownikach innych narodów, będą omawiane w Polskim Słowniku Biograficznym tylko ze strony swego uczestnictwa w sprawach narodu i Państwa Polskiego.

NAUKA I LITERATURA

„CZEKI BEZ POKRYCIA”

DOBRZE dobrany tytuł dobrej powieści: „Czeki bez pokrycia“. Czek bez pokrycia — to bardzo głupia pozycja ekonomiczna, za którą łatwo dostać się do więzienia. Zapach głupoty, lekkomyślności i oszustwa — oto atmosfera tego świata, który sprezentował nam W. M. Dęboróg w powieści pod tym tytułem (Warsz. 1933. Wydawn. „Rój“).

Utwór Dęboroga nie robi wrażenia nieśmiałej próby literackiej. Wykonany z wielką paradnością i wdziękiem wyrasta wysoko ponad poziom przeciętności. Jeżeli to pierwsza praca ukrytego pod pseudonimem autora, to powinszować należy pewności pióra, owładniętego całkowicie świadomością pisarską. Rozporządzając bogatym materjałem, autor umiał z niego wybrać to, co było potrzebne do wysnucia fabuły interesującej, a zarazem co najbardziej było charakterystycznego pod względem literackim. Wskutek tego powieść, aczkolwiek ma charakter satyry na sprawy aktualne, nie jest plotką tylko i ma wartość literacką.

Pisał tę rzecz ktoś dobrze w literaturze powieściowej oczytany i nie gardzący wzorami powieści polskiej, przyczem znać usiłowanię pogodzenia form w całej skali, od nowoczesnej powieści dziennikarskiej (Mostowicz) do dawnej artystycznej (Weyssenhoff). Wypośrodkowanie typu literackiego wypadło szczęśliwie. Powiedziano wiele bez szarżowania, satyra dobywa się przez dyskretnie stosowaną ironję.

Autor uruchomił kikanaście osób, odrazu wyraźnie je zarysowując i w charakterze je utrzymał do końca, unikając szablonu. To na szczególne uznanie zasługuje, że widzi on wyraźnie swoje figury, a z nich żadna — pomimo wspólności środowiska i obyczaju — nie jest podobna do innych.

Doskonale narysowane są postacie kobiet: takiej księżny Nelly, Gissy Brack, Słupiczowej, nawet Rosjanki, Eweliny. Trudno o większą banalność typu życiowego, jak bohater Nawrecki, a i ten ma swoją indywidualność dobrze zaznaczoną. Niektóre zaś typy, jak Mikołaj Holszański lub książę Ożarowski pozostawiają w pamięci ostre sylwety, pomimo że szkicowo zostali potraktowani.

„Czeki bez pokrycia“ należą w powieści do najnowszej serji zjawisk literackich. Okres ten zaczyna się po r. 1926, a charakteryzuje go — pomimo smutnych warunków ogólnego kryzysu — skłonność do imania się satyry i humorystyki. Dawno już nie było okresu, w którymby powieściopisarz miał przed oczyma tyle załamań moralnych i sztuk karkołomnych, tyle małości przy pozowaniu na wielkość, tyle kontrastów wesołych na tle dramatu. Kto może, sięga po pióro, aby zanotować na gorąco to, co przecież musi przeminąć, a tyle ma w sobie groteski. Humor, który szerzy koło siebie „sanacja“, działa jak gaz łzawiący. Epoka ta czeka na swego Gogola.

Spostrzeżono to widocznie, bo wzięto pisarzy z fachu pod dozór, skupiając ich w ogonku do Akademji literackiej, która jest, jak odwach zmieniący wartę. Tutaj już nikt na satyrę, wogóle na notowanie prawdy nie zdobędzie się. Będą też ukazywały się takie powieści, jak Dęboroga, pod pseudonimem, pisane może nie fachowo, ale z głębokiej potrzeby głośnego pośmiania się.

Nawrecki, Słupicz toż to odmiany wiekopomnego gogolewskiego Chlestakowa, arystokracja zaś, kupująca sobie ich łaski — to odmiana kupców, bijących czołem przed rewizorem z Petersburga.

Charakterystyka ekonomiki i etyki przedstawicieli wielkich rodów jest w powieści Dęboroga niemiłosierna, tem boleśniejsza, że fakty i postacie wzięte są z życia. To — niestety — reportaż.

Faktem jest, że historyk naszej epoki będzie musiał, dla dobycia tła obyczajowego i społecznego, czytać teraz wydawane powieści: zarówno „Czeki“, jak Mostowicza „Karjerę Nikodema Dyzmy“, „Braci“ W. J. Grabskiego, a nadewszystko K. Wybranowskiego „Dziedzictwo“. Z tem jednak wyróżnieniem ostatniej z tych powieści, że ona da mu nietylko obrazek naszej doby, ale wytłumaczenie głębokich sprężyn, które naszem życiem w ten sposób pokierowały. W sposób taki, że ono jest i śmieszne i bardzo smutne, jednem słowem — łzawiące. (W.)

„KAŻDY”

JAKO nr. 4 „Bibljoteki Dramatycznej „Drogi“ “ ukazał się przed niedawnym czasem „Każdy“ (*Everyman*), średniowieczny moralitet angielski, w przekładzie Stanisława Helsztyńskiego (Warszawa 1933 r.). Wydawnictwo to pod żadnym względem nie przyczyni dobrej sławy bibljotece, która je wydała, bowiem przekład p. Helsztyńskiego systematycznie i wyczerpującą uchybia warunkom, jakie przywykliśmy stawiać tłumaczeniom.

Sam już przekład tytułu nasuwa poważne zastrzeżenia. „Każdy“ jest tutaj osobą dramatyczną, osobą pojedyńczą, personifikującą każdego z pośród ludzi. Tymczasem zaś polskie słowo k a ż d y nie budzi w intuicji semantycznej Polaka wyobrażenia osoby i wyrażenie takie np., jak „każdy wchodzi tu i tu“ znaczy w języku polskim tyle, co: „wszyscy wchodzą tu i tu“, a więc wywołuje raczej wyobrażenie mnogości osób wchodzących. Angielskie słowo *everyman*, posiadające pewne piętno osobowe, powinnoby być w przekładzie zastąpione przez odpowiednie słowo polskie, któreby takież piętno posia-

dało. Zdaje się, że najodpowiedniejsze byłoby tu słowo „ktokolwiek“, słowo to bowiem znaczy tyle, co ktoś z pośród wszystkich, pierwszy z brzega (tak, że miejsce jego mógłby zająć właśnie k a ż d y), ale ktoś jeden, jednostkowa osoba. Już w zdaniu powyższem o tym, kogo nazwaliśmy „kimkolwiek“, mówiłem „k t o ś“, a więc jak o osobie jednostkowej, a właśnie osoba dramatyczna musi być „kimś“. (Jeżeli na pytanie: „kto tu był?“ otrzymamy dwie odpowiedzi: „ktoś“ i: „każdy“, to odpowiedzi te znaczą zupełnie co innego i różnią o ten element jednostkowości, osobowości, zawarty w słowie „ktoś“, a nie zawierający się w słowie „k a ż d y“). Słowo „ktokolwiek“, będące zrostem ktoś-kolwiek, w pierwszej ze swych części składowych posiada piętno znaczeniowe osobowe, w drugiej zaś wskazuje na osobę wziętą bez wyboru z pośród wszystkich, tak dobrze tę, jak i tamtą, a więc każdą. Dlatego to słowo to nadaje się lepiej, niż słowo „każdy“, na nazwę osoby dramatycznej, personifikującej wszystkich. Tyle co do tytułu.

Niewiele wysiłków włożył autor w dążenie do utrzymania stylu przekładu w duchu epoki, jeszcze mniej osiągnął w tem pomyślnych wyników. Język przekładu razi sztucznem i szumnem archaizowaniem, przeplecionem częstemi przebłyskami dzisiejszego stylu dziennikarsko-potocznego. Archaizowanie polega tu na częstem używaniu słów, które niesłusznie uważane bywają za staropolskie, oraz na zawiłym szyku wyrazów w zdaniu. P. Helsztyński zapomniał o tem, że średniowieczny język polski pozostawał pod silnym wpływem łaciny, którą cechuje ład i logiczny porządek zdania.

Takie więc wyrażenia jak np. „serce o p o w i t e nocą“, „s ł y s z, zaczął Bóg igrzysko“, „Oznajmię ci w r a z“, „Nuże do pracy“, i temu podobna pseudostaropolszczyzna, jak również rażące potocznością stylu wyrażenia takie, jak: „Dokąd c i e k a w o ś ć s w ą p o s u w a s z“, „N a t y c h m i a s t o w ą u l g ę ci przyrzekam“, „Postaram się zasłużyć na to w p e ł n e j m i e r z e“, nie powinny były znaleźć się w przekładzie średniowiecznego moralitetu (i to w ustach takich postaci dramatycznych, jak Bóg, Śmierć i t. d.), podobnie jak nieudolnie archaizowany tok zdania, np.: „W walkach ci duszy i w uciemiężeniu przyjaźń do końca wierności dochowa“.

Wyrażenie ducha żarliwości religijnej, przebijającego z treści utworu, mylnie próbował p. Helsztyński osiągnąć w przekładzie przy pomocy rymów częstochowskich, pamiętając, jak widać, że Częstochowa jest miejscem, gdzie żarliwość religijna silnie się wyraża. Takie więc rymy jak np.: wkrótce — powrócę, czysto — chciwstwo, rozum — grozą, „Dobre uczynki dajcie bodaj radę — Dam ci ja ją naprawdę“, chybiły celu.

Wiersz p. Helsztyńskiego przybiera często postać chropawą, nie płynną, nawet drażniącą jak np. „słodycz czerpiecie zrazu z zgub“. Niemile też rażą błędy językowe, takie jak np. „prosiłeś d a r e m n o“, „wyznaj nam wszystko bez o g r ó d k i“, „Błagam cię, śmierci, oszczędź mnie łaskawie, p ó t y w skrusze zawiłych liczb swych nie ustawię“.

Pozatem istnieją drobne usterki. Np. osoba dramatyczna „Dobre uczynki“ mówi o sobie raz w liczbie pojedyńczej rodzaju żeńskiego, innym zaś razem męskiego, „Bogactwo“ nie wiadomo dlaczego mówi o sobie w rodzaju męskim, a inne postaci są podobnie niekonsekwentne.

Z tem wszystkiem przekładowi p. Helsztyńskiego zbywa zupełnie na prostym, rzetelnym patosie, koniecznym w utworze, w którym występują takie postaci, jak Bóg i Śmierć, a dotyczącym kary pozagrobowej.

Pod adresem wydawców: druk niechlujny: lewa, inicjałowa krawędź kolumny wiersza, która powinna stanowić niewzruszony pion, załamuje się często w niemiły dla oka zygzak.

J. GR.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

P. Włodzimierz Żuławski zapowiada („Czas“), że w czerwcu r. 1934 ukaże się pierwszy tom l i s t ó w W y s p i a ń s k i e g o w opracowaniu jego i T. Świątka. Będą to listy do L. Rydla.

Na razie ukaże się w Krakowie w opracowaniu L. Płoszewskiego kilka listów Wyspiańskiego. Wydanie dla bibljofilów.

*

S t a n i s ł a w M i ł a s z e w s k i dokonał poetyckiego przekładu „Marji Stuart“ Schillera. Sztukę tę wystawi teatr Narodowy w Warszawie. Tenże teatr wznowił obecnie z powodzeniem „Don Juana“ w przeróbce Miłaszewskiego.

*

W d. 3 i 4 grudnia K. M. M o r a w s k i wygłosił w Poznaniu dwa odczyty o masonerji w związku ze sprawą rozbiorów Polski. Pierwszy odczyt: „Bractwo wrogów wstrzemięźliwości“ (plany rozbioru Augusta Mocnego), drugi: „Źródła rozbioru Polski“ (czasy Stanisława Augusta).

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Literaturze politycznej przybyła interesująca książka A n t o n i e g o M a l a t y ń s k i e g o „Niemcy pod znakiem Hitlera (od Weimaru do Potsdamu)“. Książka, wydana w Warszawie 1933, jest na składzie w Domu Książki Polskiej. Kosztuje zł. 2 gr. 80: Jest to przejrzysty (na 135 str.) wykład dziejów i politycznego życia Niemiec od r. 1914 do chwili obecnej. Większą część książki zajmuje historja narodowego socjalizmu i karjery Hitlera.

*

S t a n i s ł a w C z e r n i k nie jest debjutantem na polu poezji; wszak już w r. 1923 na konkursie literackim im. Gabrjeli Zapolskiej otrzymał nagrodę za zbiór poezyj. Jakby chciał d o s ł o w n i e wypełnić znaną zasadę Horacego, poezje te trzymał w zamknięciu przez lat dziesięć, aż dopiero niedawno ogłosił je w zacisznym wielkopolskim Ostrzeszowie. Takie przechowywanie utworów niekiedy daje dobry rezultat, niekiedy jednak szkodzi autorowi — zwłaszcza dziś, gdy piszących jest dużo i pomysły, w szczęśliwą godzinę poczęte, gotów wcześniej wyzyskać ktoś inny. Czernik zbiegł się niejedną nutą, niejednym szczegółem, z Zegadłowiczem z okresu „Powsinogów“ i „Kolędziołków“. Z formalnych podobieństw wspomnę używanie takich wyrazów, jak „zezbożowiec“, „ułączniony“, „rozkrzewny — rozdrzewny“, „wiśniowo — śliwnie — jabłonnie“ i t. p. Słownictwo to, wydobyte z dziedziny lasów, pól, wiejskich dróg i sadów — bo też i treść stamtąd wzięta. Domyślać się możemy, że, jak Zegadłowiczowi, tak i Czernikowi zbiegła młodość w wiejskiem środowisku i że w niem czuje się najlepiej. Strony rodzinne — Sandomierszczyznę — kocha gorąco i sławi je z całem przekonaniem, lecz bez paregiryzmu. Ale to nie jedyny temat tego wartościowego zbiorku. Dań dawnej — przedwojennej — modzie składa Czernik w cyklu sonetów o ludziach - fanatykach, zachowując w nim wszakże potrzebny umiar i dbając o prawdziwie nowy, niebanalny sposób wypowiedzi. Urywki zapowiedzianych dramatów nie dają jeszcze możności sformułowania sądu; narazie wyglądają one na utwory czysto liryczne— nawet niema w nich zawiązku jakiegokolwiek działania. Próby suggestjonowania czytelnika mową archaizowaną jakoby z czasów piastowskich są artystycznie udane. Silny jest Czernik i w utworach religijnych, wśród nich dwa zwracają szczególną uwagę: „Modlitwa za Żydów“ i „Modlitwa za Prusaków“— które są jakby podyktowane słowami Chrystusa: „módlcie się za tych, którzy was prześladują“...

Drugi tomik mniej jest różnolity w swej formie i treści. Nosi on charakterystyczny tytuł: „O polskim płocie“ (skład gł. Dom Książki Pol.), który ma uwydatnić tę swojskość, będącą już znamieniem pierwszego zbiorku. Płot miał już w poezji polskiej dawne prawo obywatelstwa i tradycję, sięgającą istotnie jeszcze piastowskich czasów; jedną z pieśni o płocie napisał już Bielski, a upoetycznił płot Kochanowski i Szymonowicz. Z prymitywem pieśni ludowej i z tradycją wspomnianą nie chce mieć wiele wspólnego Czernik. Pamięta on i myśli o teraźniejszości i nowych formach poetyckich; jeździ więc „tramwajami metafor“, jednakże nadal czuje się najlepiej wśród przyrody wiejskiej — owym płotem wiejskim, kwiecistym, łopiennym, ale i pokrzywionym, odgradza się od gwaru miejskiego, od mody i banału. W Słowiańszczyźnie, w Norwidzie, Wyspiańskim, Szopenie, ba, nawet u rosyjskich poetów, szuka motywów swojskich, które mają

zasilić jego twórczość — zda się, jakby przymierzał kolejno różne stroje, ale w gruncie rzeczy nie był z żadnego z nich ostatecznie zadowolony. Cały tomik—to różne etapy poszukiwań własnej formy, wytyczania sobie nowych dróg, nowych programów; miejscami pozostają z tego małe jakby traktaty estetyczne, językoznawcze, botaniczne nawet. W ludowej mowie słusznie widzi Czernik źródło ożywcze, zasób nowych skarbów tematycznych i formalnych; drugiem źródłem jest bezpośredniość, która tak często piękny wyraz znaleźć umiała („O zieloności"). Tą drogą mógłby iść Czernik bez wahań — jeszcze na niej dużo znaleźć może. Więcej, niż w teoretycznych rozważaniach. (J. B.)

*

Jak większość pisarzy szeroko poczytnych—że przypomnimy choćby Sienkiewicza, Konopnicką, Makuszyńkiego i Ejsmonda—tak i F. Ossendowski wziął się do pisania utworów dla młodzieży. Debjut niezbyt był szczęśliwy. Dwie powieści historyczne: „Wańko z Lisowa" (wiek XIII) i „Pod polską banderą" (wiek XVII) należą do rzeczy najmniej udatnych w twórczości Ossendowskiego; pierwsza z nich zwłaszcza napakowana jest w każdem zdaniu stekiem przeróżnych, niekiedy zgoła fałszywych archaizmów, pozbieranych z wszelakich epok i starszej i nowszej słowiańszczyzny, czasem zaś bezpośrednio z dzisiejszego języka rosyjskiego, choć przyznać, bądź co bądź, należy, że niema tu tak paradnych nieporozumień językowych, od jakich się roi „Twardost" Sieroszewskiego. Powieść „Pod polską banderą", w tendencji szlachetna i aktualna, byłaby bez tych niepotrzebnych przystawek lingwistycznych o wiele sympatyczniejsza, poczęta jest ducha „Trylogji" Sieskiewiczowskiej, a bliska jest niektórym powieściom Wal. Przyborowskiego. Apoteozą polskiego bohaterstwa z czasów wielkiej wojny zajął się Ossendowski w książce „Najwyższy lot" (Wyd. Pol.), która (mimo kilku opowieści o treści pessymistycznej, jak „A było ich 37") jest lekturą naprawdę krzepiącą i czynem wysoce obywatelskim. Sienkiewiczowskie „W pustyni i puszczy" znalazło pewien oddźwięk w miłej, i dla młodzieży bardzo stosownej, opowiastce „Mali zwycięscy" (Książnica Atlas), gdzie tło wprawdzie inne niż u Sienkiewicza, mianowicie tak dobrze znana Ossendowskiemu Mongolja, lecz tendencja i niejeden epizod są podobne, Romek bynajmniej nie ustępuje Stasiowi Tarkowskiemu ani w dzielności, ani w przedsiębiorczości i pomyłowości.

Napisawszy drugą jeszcze powiastkę azjatycką, tym razem już w stylu londonowskim, p.t. „Czao-Ra" (losy psa w tundrze syberyjskiej), podążył Ossendowski szlakiem Sienkiewiczowskim i do Afryki. Zaczął od „Przygód małpki" — ujętych w formę niby małpiego pamiętnika, a osnutych podobno na rzeczywistych przygodach szympansa, podarowanego przez Ossendowskiego zwierzyńcowi poznańskiemu. Tu już autor pokazał, co umie, i stworzył w powieści dla młodzieży rodzaj nowy i odrębny; talent narratorski i humor (przepysznie wspomagany ilustracjami ś. p. Mackiewicza) podbijają naprawdę serca młodocianych czytelników, chociażby ci jeszcze nie zdolni byli wyczuć subtelnej ironji, jaką przesnuł Ossendowski swą opowieść.

Humor w parze z głęboką tendencją wychowawczą idzie w ostatniej „młodzieńczej" powieści tegoż pisarza, noszącej tytuł „Miljoner Y" (Książnica-Atlas). Bohaterem jest mały murzynek, mający „najkrótsze na świecie ubranie i najkrótsze imię". Staje się on *rru* czyli wodzem garstki rówieśników, zmuszonych tułać się po puszczy w posukiwaniu żywności w dniach głodowych. Ten *„biezprizornyj"* ma w swem sumieniu dziwgnię etyczną, która nie pozwala mu upaść duchowo, etycznie w najcięższych przeciwnościach. Śladem może Stasia Tazkowskiego przebywa całą puszczę, poznaje różne jej dziwy i stworzenia, aż dociera do morza. Dostawszy się na okręt kupiecki, przybywa z nim do Ameryki i tu zaczyna się druga część tych zajmujących przygód. Zaczyna się — po amerykańsku — od rekordu: kto najprędzej zdoła wyłuskać największą ilość ostryg, potrzebnych do *„oystersoup"*, stanowącej strawę zwykłą ludności przedmiejskiej N. Yorku. Z tego bierze początek „mechaniczna otwieralnia ostryg", potem inne przedsiębiorstwa, aż murzynek wyrasta na miljonera. *Clou* całej powieści stanowi rozdział, w którym Y daje lekki policzek moralny swoim kolegom-miljonerom i wraca do Afryki, poświęcić swe siły sprawie murzyńskiej. — Nie tak oryginalną, ale ciekawą treść ma wreszcie „Zwierzyniec" (Wydawn. Polskie), który przez autora został określony jako powieść dla dzieci od lat 8-100; tu już humoru mało, a nawet przeważa nuta smutna, finał swój mająca w śmierci więzionego w klatce orła. Szkoda, że w tekście znalazły się tu liczne usterki językowe (np. „wzmożyła" zam. „wzmogła" i t.d. it.d.) W powieściach, wydanych przez Księżnicy-Atlas, tego defektu teraz się nie spotyka; widać że nad korektą czuwa polonista, redaktor „Iskier", prof. Wł. Kopczewski. (J. B.)

MUZYKA

FILHARMONJA.—Pierwszego grudnia już po raz drugi zjechał do Warszawy i wystąpił, tym razem w sali Filharmonji, wiedeński chór chłopców *(Wiener Saengerknaben)*. Przyjazd tego młodocianego zespołu nastąpił w wyjątkowo serdecznym nastroju; cała prasa z zupełnie usprawiedliwionym zachwytem pisała o jego dużych wartościach, podkreślając przedewszystkiem chełpliwym tonem, jaki się zwykle daje odczuć, gdy mowa o rodowodach, fakt czterechsetletniego jego istnienia.

Dowiedzieliśmy się więc, że chór ten powstał na mocy dekretu cesarza Maksymiljana, że wchodził w skład słynnej *„Hofburgkapelle"*, że instytucja ta przetrwała do roku 1918-go, w którym młoda republika austrjacka, jak każda młoda republika, likwidując w demokratycznych zapędach „przeżytki", związane z dynastją (ale też i z historją), zniosła, rozwiązując zupełnie, chór chłopców. I nie było go do roku 1923-go. Te pięć lat, to dokument, a te tylko pięć lat, to także dokument.

Bo czy jedynie niewątpliwe okaleczenie chóralnego śpiewu kościelnego przez pozbawienie go głosów chłopięcych i obawa, ażeby brak ich nie wypaczył charakteru tego śpiewu, jeśli nawet całej jego bogatej literatury nie wepchnął do archiwum, były przyczyną ponownego zorganizowania zespołu? — Jestem przekonany, że przedewszystkiem pragnienie nawiązania do tradycji, odzyskania i rozwijania nadal tego, czego się nie da zastąpić — dorobku czterystu lat.

Powstał więc Instytut o zabezpieczonym bycie materjalnym: dano mu najlepsze warunki pracy, a w miejsce starych internatów klasztornych wybudowano nowy, „wyposażony we wszystkie zdobycze wygody, hygjeny i komfortu", jak nie zapomina poinformować program (szczegół przecież bez znaczenia, podkreślenie go jednak charakterystyczne).

Niepospolite walory chóru są, obok pracy i materjału głosowego, przejawem i wynikiem jego historji.

Podkreślić należy precyzję wykonania (nieporównane *pianissimo*), czystość intonacji, dobór i wyszkolenie głosów. Właśnie wyszkolenie. Tych malców między jedenastym, a piętnastym rokiem życia! I tu trzeba wymienić nazwisko doktora Georga Grubera, obecnego kierownika.

Zamiast zapowiadanej opery komicznej K. M. Webera *„Abu Hassan"* odegrano „Próbę opery" Lortzinga. Piszę odegrano, gdyż nie ograniczono się tylko do odśpiewania partyj wokalnych i zupełnie słusznie; opuszczanie bowiem djalogów lub ich recytacja bez uwydatnienia komizmu akcji, pozbawiałoby zupełnie sensu wystawianie oper, które zawsze wchodziło w skład świeckiego repertuaru chłopców. Włączenie znowuż elementów teatralnych, jakiemi była gra (i to dosłownie), charakteryzacja i kostjumy, domagało się oprawy scenicznej, której w piątek nie było. Inna rzecz, że przedstawienie, na tle ogromnych kotar w Filharmonji, sprawiało wrażenie dziwnego teatru żywych kukiełek. Zestawienie małego wzrostu aktorów z wielkiemi kotarami dało efekt, jaki wywoływać można operowaniem skalą. Oczywiście był to tym razem przypadek.

Motety (świetnie wykonany Vittoria *„Domine non sum dignus"*) i pieśni ludowe dopełniały program. —

W. NARUSZ

P. S. W poprzednim numerze „Myśli Narodowej" w sprawozdaniu z koncertu poznańskiego chóru katedralnego wkradł się błąd. Mianowicie zamiast zdania: „Bo nie formy broniono w Trydencie, ale ducha niereligijnego, którego niósł renesans", winno być „Bo nie formy broniono w Trydencie, ale ducha przed wpływami niereligijnemi, które niósł renesans".

NOWE KSIĄŻKI

Wierzyński Kazimierz. Gorzki urodzaj. (Poezje). Warsz. 1933. J. Mortkowicz.

Skrudlik Mieczysław. Cudowny obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. (Warsz. 1933). Wydawn. Tow. popierania kultury regjonalnej w Częstochowie. S. 83 z ilust.

Szpyrkówna M. H. Skłamane szczęście, Powieść. Warsz. Rój.

Dęboróg W. M. Czeki bez pokrycia. Warsz. Rój.

Grabski Władysław Jan. Bracia. Powieść. Warsz. Rój.

De Saint Exupéry Antoni. Nocny lot. Przekład M. Czapskiej i S. Stempowskiego. Powieść. Warsz. Gebethner i Wolff.

Mickiewicz Władysław. Pamiętniki t. III. Warsz. 1933. Gebethner i Wolff. S. 488.

Ruch Literacki. Warsz. nr. 8 (październik).

Furowicz A. Dom duchów. Grudziądz 1933. Nakładem autora. S. 87.

OFENSYWA

GOTT STRAFE ENGEL-LAND?

Znów odbyły się demonstracje przed ambasadą angielską w stolicy Polski. Jednego dnia dwustu młodych, ognistych Chazarów maszeruje i wrzeszczy, drugiego dnia wybijają szyby kamieniami, a kamienie owinięte papierkiem, na którym napisane: „Precz z rządem angielskim!" Już tamtego roku awanturowali się i oblewali naftą podłogę w konsulacie. Teraz znów wycia, ryki i tłuczenia szyb i groźby. Nadto grożą, że i we Lwowie będą demonstrowali: *Gott strafe Engelland!* Za co? Za *czto* Chazary?

Trzy dni temu J. K. Mość wysłał specjalną depeszę na uroczysty *meeting* w Albert Hallu *combattant*'ów żydowskich (*sephardim*) w armji angielskiej. Wogóle cackanie i każolowanie na każdym kroku, no i obrażanie się na to, co wyprawia *damned Germany*. Arcybiskup Canterbury raz po raz podpisuje się na każdym proteście. Captain Sears wrzuca wieniec do Tamizy. W parlamencie to poseł Mander, to Locker-Lampson, tradycjonalni: Wedgewood i Kenworthy. Dwukrotnie oburzali się Chamberlain i Churchill. W prasie dużo łez się polało „czystych, rzęsistych". Pochody też bywały na Trafalgar-Square. Zapomniano z kretesem o swoich własnych wyczynach w Irlandji (przez 700 lat) w Egipcie, w Indjach, w Transwaalu, i o pewnych niedomogach humanitaryzmu w stosunku do różnych *„coloured people"*. A natomiast rozdzierano szaty z powodu przeokropnych mąk, jakie przechodzą krewniacy Londyńczyków z „Magnolia-Street" (powieść Louisa Goldinga o potwornej egzystencji żydów londyńskich). Żaden naród na kuli ziemskiej nie wybeczał się tyle i nie wyszlochał w prasie z powodu tragedji żydów niemieckich, ile rodacy autora „Kupca Weneckiego"... Był moment, że nawet notoryczni antysemici, jak G. K. Chesterton i H. Belloc, porwani suggestją powszechną wyrażali się dyskwalifikująco o tym odcinku narodowej rewolucji niemieckiej: niechby wyrzynali w pień komunistów, byle nie spadł włos jeden z głowy Absaloma lub Dawida... Golder! (patrz powieść Niemirowskiej). I był moment taki, że wszyscy omal Anglicy byli za bojkotem nawet piwa *made in Germany* i do bojkotu byłoby doszło, gdyby nie kategoryczny sprzeciw.. Jechudim, to jest *„Board of Deputies"*, to jest kilkuset Shylocków (Laski, Montefiore, Mond), wiernych staremu przysłowiu: *jewish policy is jewish trade.*

No i co to wszystko pomogło? Figę! Jeszcze się ten nie narodził ktoby *Lord-People* dogodził. Już rok temu pisał nasz p. Eichhorn w „Hajncie":

> „Niema już teraz żadnej wątpliwości, że między nami a Anglją wszystkie mosty są spalone... Musimy teraz zbliżyć się do wszystkich tych czynników, kimkolwiek byłyby one, których interesy kolidują na arenie światowej z interesami imperjalizmu angielskiego, i u nich szukać pomocy".

Było to z powodu jakiegoś drobnego incydentu. I już *England* nie była *Engelland* tylko poprostu *perfid Albion*.

Teraz znów się to powtarza. Fala nienawiści (*Hass gegen die Umwelt*) przeciw Niemcom odchodzi, fala nienawiści do Arabów zmalała i znów wzbiera furja na Anglików, na administrację palestyńską, na *high-comissioner*'a w Jerozolimie, na *constabullary* (policję), na sądy i sędziów. Oczywiście starszej daty anglomani, jak jubilat Uszyszkin, prof. Weitzman, prof. Brodetzky i sam czarujący prezydent Nahum Sokołów (b. współpracownik „Hacefiry" i „Izraelity"... równocześnie) będą nadal stali przy tronie czy stolcu Mac-Donalda, już choćby za jego list do Weitzmana z 13 lut. r. 1931, potwierdzający list miłosny Balfoura do „drogiego lorda Rotszylda". Staruszkowie liczą na Anglję, jak na Zawiszę i z lubością patrzą na angielskie samochody pancerne, tanki i karabiny maszynowe, dzień i noc pilnujące, aby Arkadja była nadal Arkadją, a dzikie Beduiny nie nabrały ochoty zarżnięcia młodych chalucek i chaluców, a z papą i mamą do wody, do morza (czem stale grożą).

Młodzi natomiast, szczególnie Chazarzyska z Europy bardziej Wschodniej nie mają już tego serwiltycznego respektu. Oni są wysportowani i makabiczni, chcą mieć własnoręczne haubicie i bomby ekrazytowe i rwą się do tego, aby autochtonów Arabów ogniem i mieczem pędzić precz w pustynie i piaski, a do okrągłego stołu, dobrze nakrytego, siadać samym, bez żadnych mr. Youngów, mr. Frenchów i t. p. angielskich biurokratów. Tym cwaniakom już nie imponują przewspaniałe oracje mr. Chamberlaina (Hamlet:... „słowa, słowa, słowa!"), ani nawet wzruszająca, ojcowska troskliwość obecnego *highcomissioner*'a, oczywiście generała. W wypowiedzeniach „młodzieńców żydowskich" p.p. Kahanego, Szwalbego, Hartglassa, Thona, Appenszlaka, Meira Grossmana, syjonistycznej Wielopolskiej Miriam Wolman i wreszcie samego *Führer*'a Żabotyńskiego czyta się stale o angielskiej dwutorowości, dwulicowości, balansowaniu, angielskiem *divide...*," wygrywaniu jednych przeciw drugim lub wprost o... oszustwie. I tak pan N. Szwalbe zarzuca mr. Youngowi (reprezentant rządu angielskiego w Genewie) „właściwy sobie cynizm", inny pisze o „oszukańczym raporcie Frencha" (Kahane), Hartglas zapytuje:

> „Czy raczej Anglja nie gwałci mandatu, nie uniemożliwia poprostu urzeczywistnienia deklaracji Balfoura, stwarzając ograniczenia imigracyjne, zaprowadzając system certyfikatów?"

Pan Meir Grossman wypowiada się przeciw jakiejkolwiek współpracy z rządem mandatowym.

Ale jeszcze się trzymali i wstrzymywali furję aż do ostatnich dni. Jeszcze po stłumieniu pierwszego powstania arabskiego, po krwawej masakrze, w której zginęło śmiercią krwawą kilkudziesięciu Arabów, a kilkuset rannych leży (ani jeden Chazar), warszawski tygodnik „Opinja" pisał:

> „Należy stwierdzić, że tym razem rząd wystąpił zupełnie zdecydowanie przeciw próbom wywołania niepokoju w kraju, i nie cofnął się przed użyciem najostrzejszych środków. Gdy było konieczne, użył broni palnej. Przywódców arabskich, odpowiedzialnych za to, co zaszło, osadził więzieniu."

„Trzy razy księżyc odmienił się złoty", kiedy już zaczęli pisać o „inscenizacji buntu arabskiego ludu" i insynuować, że demonstracje są wtedy, kiedy „rząd pozwoli", no a kiedy rząd palestyński, przerażony rzezią Arabów i nadchodzącemi już w bliskiej przyszłości, straszliwemi konsekwencjami w całym świecie muzułmańskim, zdecydował wreszcie *„Stop Imigration!"* zaś policja zaczęła wyławiać setki wszmuglowanych „turystów", głównie komunistów, wtedy odrazu: *Gott strafe England! Crucifige! Crucifige!*

No i kamienują.

Pan Appenszlak pisze pod adresem „pozwalającej sobie" Anglji:

> „Oświadczamy to wyraźnie, że pobyt każdego żyda w Palestynie jest legalny, bez względu na rodzaj wiz i paszportów — tak samo, jak legalny jest pobyt każdego Anglika w Anglji! Jest to legalność głęboka, faktyczna, historyczna—ważniejsza od stempla placówki konsularnej. Nigdy za żadną cenę — żydostwo nie wyrzeknie się tej legalności! Represje nic tu nie pomogą!"

„Hajnt" ostrzega Wielką Brytanję:

> „Tak, może powstać położenie, gdy żydzi będą musieli domagać się, by Anglja oddała mandat w inne ręce."

A p. Żabotyński w samym Londynie na konferencji prasowej wygłasza przemówienie, które w telegramie ŻATA dzięki figlowi chochlika drukarskiego brzmi:

> „Upiór żydowski przełamie krzyżowy pochód, wszczęty przez rząd palestyński przeciwko imigracji palestyńskiej."

Upiór!

Jednem słowem na całej linji: *Gott strafe England!*

A jeszcze niedawno to był *Engel-land...*

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Dzienniki sanacyjne pokrywają klęskę, poniesioną w wyborach samorządowych w Poznańskiem i na Pomorzu, artykułami jednobrzmiącemi, głoszącemi zwycięstwo „sanacji", a klęskę obozu narodowego.

Ludzie się zżymają na to kłamstwo, ale nie pomyślą o tem, coby było, gdyby prasa sanacyjna w jakimkolwiek wypadku napisała przez pomyłkę prawdę. Opinja byłaby wtedy zupełnie zdezorjentowana, a tak każdy wie, czego się trzymać:

— Aha, mają rację, jest właśnie odwrotnie.

*

Pierwszą publikacją Akademji Literackiej jest serja pocztówek z wizerunkami akademików i z atestacjami, wystawionemi im przez p. Pomirowskiego (Pompera).

Pierwszą pracą, zadaną akademikom przez p. Jędrzejewicza, ma być plan nauczania literatury polskiej w szkołach średnich. Zapewne chodzi tu o ułożenie porządku, w jakim następować ma lektura dzieł akademików - twórców: Kadena Bandrowskiego, Staffa, Berenta, Nałkowskiej, Leśmiana, Choynowskiego.

Czynność ta zajmie wiele posiedzeń, a skończy się na ponumerowaniu pocztówek.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.